Nr. 12. Lwów, Niedziela dnia 19. Listopada 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XII.

TOWARZYSTWO PRZYRODNIKÓW IMIENIA KOPERNIKA I JEGO ODCZYTY TEGOROCZNE.

Niejednokrotnie już podnosiliśmy z tego miejsca głos w celu popierania i zachęcania do współudziału w naszych stowarzyszeniach. Wykazywaliśmy ich znaczenie i ich szczególną doniosłość dla narodów znajdujących się tak jak nasz w warunkach nienormalnych i w stanie tak rozbitym; wykazywaliśmy ich siłę jednoczącą i ich wpływ zbawienny na podniesienie materjalnego i umysłowego rozwoju większych mas społeczeństwa naszego.

Dzisiaj, z kolei rzeczy, zajmiemy się jednem ze stowarzyszeń mających naukowe cele, które choć jeszcze bardzo młode, choć niewielkiemi materjalnemi środkami rozporządzające, istniejące o własnej sile, a jednak ruchliwą działalnością, usilnem popieraniem największego celu rozszerzania oświaty zostawiło już ślady niezatarte pracy pożytecznej w naszem społeczeństwie.

Mamy tu na myśli Towarzystwo przyrodników polskich imienia Kopernika.

Zawiązane mniej więcej dwa lata temu przez kilku naszych młodych uczonych, po większej części profesorów uniwersytetu, urosło dziś w Towarzystwo o niezachwianych podstawach, o poważnej liczbie członków, ma swój własny organ „Kosmos," cieszący się szerokiem kołem czytelników, odbywa regularnie co dwa tygodnie posiedzenia, zakłada czytelnię pism perjodycznych, urządza odczyty popularne dla naszej publiczności...

A jednak pomimo tego obszernego zakresu działania, nieważając na ogromne znaczenie nauk przyrodniczych w rozwoju umysłowym naszego społeczeństwa, tak potrzebującego wiedzy realnej, pozytywnej; pomimo nadzwyczaj łatwych warunków obowiązujących przy wstąpieniu do Towarzystwa, nie zdołało ono jeszcze rozwinąć się daleko po za zakres specjalistów, przeniknąć głębiej do mas, wzbudzić w nich zamiłowanie do przyrodnictwa: większa część członków jeszcze dotąd złożoną jest tylko z przyrodników i zaledwie kilkunastu członków niezajmujących się specjalnie tą gałęzią wiedzy, mogliśmy w gronie członków naliczyć. A przecież w celach Towarzystwa, o ile wiemy, nie leży tylko praca specjalna, dążąca do popychania naprzód wiedzy, lecz, a to jest celem głównym rozszerzanie tej wiedzy, rozbudzanie zamiłowania do niej we wszystkich warstwach, roznoszenie promieni światła w najciemniejsze zakątki...

Nie wątpimy, że tę obojętność ogółu składać należy nie na karb jego umysłowego przygotowania, bo z prac Towarzystwa każdy korzystać może, nie na karb braku zainteresowania się tym przedmiotem, bo przecież przyrodnicze odczyty Towarzystwa pedagogicznego cieszyły się w latach ubiegłych nadzwyczajnem powodzeniem, ale raczej na karb małego rozgłosu tego Towarzystwa. Towarzystwo pracuje jeszcze dotąd zanadto w cichości, w prasie naszej znajdujemy o niem zaledwie od czasu do czasu krótkie wzmianki, mało osób wie o Towarzystwie i o tem, że w pracach jego mieć udział i korzyść bezpośrednio odnosić może.

To też teraz gdy coraz częściej słyszeć się dają głosy uznania dla Towarzystwa, nie ulega wątpliwości, że publiczność nasza popierać je będzie usilniej i da mu najlepszy dowód swych dobrych chęci i zamiłowania nauki, biorąc liczniejszy w niem udział.

Po raz pierwszy występuje Towarzystwo Kopernika tego roku z odczytami publicznemi. Profesor Syrski zda w kilkunastu odczytach sprawę z podróży naokoło świata, z której wrócił w r. 1870. Przedmiot nadzwyczaj zajmujący, a imię naukowe sprawozdawcy dają nam rękojmię, iż odczyty te zgromadzą liczne zastępy słuchaczy.

Wyprawa, w której jako sprawozdawca rządowy uczestniczył prof. Syrski, wysłaną została przez rząd austrjacko-węgierski w celu zawiązania stosunków dyplomatycznych i kupieckich z Chinami i Japonją. Dwa okręty wojenne „Dunaj" i „Fryderyk" wypłynęły z Tryestu w jesieni 1868 r. przepłynęły przez morze Śródziemne, zawitały po drodze do Algieru i Marocco, wypłynęły przez Gibraltar na Ocean Atlantycki. Ztamtąd przybiły do Teneryffy, następnie zbliżyły się do wybrzeży Ameryki południowej i podążyły ztamtąd do przylądka Dobrej Nadziei. Po zwidzeniu Caplandu popłynęły do Javy. Z Javy do Singapore, potem do Siam; uczeni bawili tam w stolicy Bangkoku. Następnie byli w Kochinchinie, dalej w Chinach i Japonji, gdzie zatrzymali się przez czas dłuższy. Nareszcie nasz sprawozdawca w towarzystwie dra. Scherzera, naczelnika i głównego promotora wyprawy, oddzielił się od niej, pojechał do San Francisco, ztąd koleją pacyficzną przez kontynent amerykański, na wschodnie wybrzeże i w r. 1870 wrócił przez Atlantyk do Europy.

Rozmaitość przedmiotów, które poruszane będą na tych odczytach, wielostronność poglądów, które się rozwiną, zresztą temat oryginalny, a tak u nas rzadki, ściągną do sali ratuszowej tłumy słuchaczów. Nie wątpimy o tem, bo tak być powinno...

ŻELIGA.

Powieść
JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Starosta był nieporywczy, zimny, ale twardy do zgryzienia dla nich.

— Masz waćpan powołanie do stanu duchownego? — zapytał mnie od razu, gdym wszedł ze siostrą.

— Raczej do szabli stryju dobrodzieju, odpowiedziałem.

— Nic nie mam przeciwko szabli, jak i przeciw brewiarzowi, byleby coś robić — rzekł — do czegoby dążyć a nie próżnować. No, a panna Teresa czy myśli zostać w klasztorze?

— Stanowczo nie — odparłem za nią.

— Radbym to z własnych jej ust posłyszeć, rzekł stryj.

Teresa powtórzyła za mną, że nimby obrała stan, w którym życie całe spędzić ma, pragnie wprzódy poznać lepiej świat i samą siebie.

— Gdzież sobie obieracie rezydencję?

— Zostaniemy tutaj.

— Z p. Stanisławem? zapytał.

— Nie wiemy czy on tu zostać myśli,

— A jeśli i on, co być może, mieszkać tu zechce?

— Będziemy mieszkali razem.

Stryj zamyślił się chmurno.

— Czy to będzie dobrze i dogodnie? zastanówcie się — rzekł powoli. — P. Stanisław jest spodziewam się młodzieńcem zacnym, aleście osobno rośli, nieznajomi sobie jesteście, on tu nawykł rozkazywać.

— Gdybyśmy nawet uniknąć tego pragnęli — rzekłem — nie możemy. Jesteśmy małoletni, ojciec działu nie uczynił, my go dziś zrobić nie mamy jeszcze prawa. Gdzież szukać schronienia, jeśli nie tu? Gdybyśmy raz opuścili dom nieboszczyka rodzica naszego, jużby dla nas prawo doń niejako straconem zostało.

Nic na to stryj nie odpowiedział, wiem tylko, że gdy o tem postanowieniu naszem oznajmiono p. Stanisławowi, rzekł:

— A! dobrze, niech zostaną, zobaczymy jak długo tu wycierpią.

Powtórzono mi te słowa, oburzyłem się. alem postanowił przyjąć wyzwanie i prosiłem tylko stryja, aby czas jakiś z nami pozostał.

Życie w istocie obiecywało się nieznośne, ale musieliśmy pozostać w miejscu, nie mogąc ze strachu ani pomyśleć o jakich bądź układach, gdyż ufając w swe stosunki, odrzucał wszystko na przyszłość, a miał nadzieję że dokuczywszy nam, zbędzie nas jak najmniejszem. W pierwszej chwili testamentowi nic zarzucić nie śmiano, ale poradziwszy się stronników, wyszukano w nim i w naturze posiadanych majątków nieboszczyka wojewody łatwe do wykwitowania nas jak najmniejszą cząstką preteksta. Wszystko to działo się po za nami. Starosta mimo przenikliwości swej, grożących nam niebezpieczeństw nie dorozumiewał się wcale. Z p. Stanisławem zgoda i zbliżenie się było całkiem niemożliwe.

Nie godziło się go nazwać złym człowiekiem, ale go rodzina czyniła nam nieżyczliwym, niechętnym. Dumny, przywykł był nas uważać za jakichś obcych, co się mu narzucili w dom, imię i majętność ukradłszy podstępnie; wychowany wśród rodziny przywykłej do wysokiego ocenienia się, mniemał się najsumienniej sam jeden prawym następcą imienia i majętności, za obowiązek swój ocalenie obojga od napaści naszej uważając. Był szorstki, twardy i nieugięty, zawarty w sobie, zimny, szyderski i do raz postanowionego celu idący z uporem, choćby mu największe przeszkody zwalczać było potrzeba. Wzmagały one tylko jego zaciętość młodzieńczą. Duma rodowa, pewność siebie, czyniły go w obcowaniu nieznośnym, chociaż w istocie gdy namiętności cichły, zdolnym był i miłym nawet, rozsądnym i wykształconym, pełnym szlachetnych uczuć człowiekiem. Ale w nim na przemiany zło i dobro z kolei przemagało, a miał to sobie za zasadę, że wartość ludzi zależy od pozbycia się serca i tkliwości, zwalczenia tego, co zwał słabością. Usposobienie do szyderstwa nabyte w obcowaniu z rodziną L. nie dawało mu najczęściej widzieć strony rzeczy i spraw ludzkich prawdziwej, dopatrywał prędzej i łatwiej ułomności i śmieszności niż dobrego się domyślał; stosunki rodzinne, położenie u dworu, związki, znajomości, dawały mu wielką w istocie przewagę i oręż przeciwko nam silny.

Nie będąc już obowiązanym powracać do zarzuconej sukienki nowicjatu, potrzebowałem zająć się czemś, i coś na przyszłość przedsiębrać, alem to od dnia do dnia odkładał, bo z domu oddalić się nie mogłem na długo, zmuszony czuwać i opiekować się siostrą.

Próby zawiązania znajomości i stosunków ze znaczniejszemi domami za pośrednictwem starosty, wcale się nam nie powiodły. Sam on nie najlepiej był widziany, my jeszcze gorsze znaleźliśmy dla siebie usposobienie, objechaliśmy dwory, wszędzie nas grzecznie, zimno, odstręczająco przyjęto, tak że nigdzie potem powracać nie mieliśmy ochoty. Stanisław i jego rodzina lekceważeniem nas wpłynęli na sąsiadów; siostra więc i ja grzecznie odepchnięci, zostać musieliśmy w domu, szukając w nim sobie zatrudnień. Mieliśmy po ojcu znaczną bardzo bibljotekę, a ja dla siebie myśliwstwo i stajnię. Dla Teresy nie młodą już wdowę, daleką krewnę ubogą, uprosić musiałem do towarzystwa, sam obchodziłem się bez ludzi, czytając, jeżdżąc i polując po dniach całych.

P. Stanisław dotrzymał co nam zapowiedział. Spotykaliśmy go jako zawadę i przeszkodę na każdym niemal kroku, przykrzył się nam umyślnie. Równe mając prawa do niedzielonego jeszcze po ojcu spadku, żyjąc pod jednym dachem, nieustannie coraz nieprzyjaźniej ocieraliśmy się o siebie. Jeśli ja sobie wybrałem konia do jazdy, pewnie on potrzebnym był p. Stanisławowi; jeśli Teresa chciała wyjechać do kościoła, konie i powozy zabierał wprzód pewnie dla siebie i przyjaciół. Służba, mieszkanie, kuchnia, stajnie, nawet książki były powodem nieustannych sporów. Brat umyślnie prawie się nie oddalał, aby nam chwili nie dać wytchnąć, my postanowiliśmy trwać, znosić i jakkolwiek przykrem było położenie, milcząco je przyjąć jako konieczność. Wzywany do gwałtowniejszej walki i kłótni, najczęściej zbywałem pogardliwem milczeniem brata, którego to bardziej jeszcze jątrzyło.

Szczególne też uczucie wyrodziło się we mnie z tego dziwnego, dwoistego położenia i pochodzenia. Krew pańska ojca płynęła w żyłach moich i burzyła się we mnie, szlachecka też matki całą siłą uciśnionych i upokorzonych z nią we mnie walczyła. Byłem naprzemiany pod wpływem jednej lub drugiej, ostatecznie jednak więcej szlachetką się czułem, bom w tem uczuciu był draźniony i nieprzyjaźń ku magnatom wyrobiła się niechęcią ku bratu wzmagana. Chciałem był na złość rodzinie do imienia głośnego ojca, przydać sobie nieznane imię matki, i połączyć je umyślnie; przybierałem tem pokorniejszą powierzchowność im w głębi duszy w istocie duma więcej się srożyła. Często też w bracie widząc przedstawiciela pańskości, której nie nawidziłem, ostro na magnaterję przy nim odzywałem się, łatwych przeciwko niej używając argumentów.

Ale nękała mnie ta walka nużąca, którą on prowadził chłodno, ja gorączkowo. Ja i Teresa chcieliśmy się w końcu odosobnić zupełnie, zachowując tylko dla oka stosunek jakiś familijny, ale się to skutecznić nie dało, formy pewne do których poszanowania zmuszeni byliśmy, były dlań orężem do nowych i zręcznych prześladowań. Zwyczaj odwieczny wymagał tego, byśmy do jednego siadali stołu; zmienić to było bardzo ciężko, brat zwykle przyprowadzał kogoś ze swoich i wiódł przy nas rozmowy, któr mi ranił nas najboleśniej. Teresa nieraz zalana łzami rzucała objad aby ujść przykrych wymówek, które ja cierpiałem jak głuchy i martwy.

Ale mimo najmocniejszych postanowień w końcu się miara cierpliwości przebierała, niepodobieństwem było wytrzymać kamieniem, usta drgały, słowo z nich samo się wyrywało. Chwytał je zręcznie Stanisław, a ostrzem nielitościwego wprawnego szyderstwa rozcinał.

Niekiedy wdzierał się pod różnemi pozorami aż do naszego mieszkania, aby nam nie dać chwili spokoju. Musiałem szanując pewne formy przyjęte okazywać mu deferencję jako starszemu bratu, a bronić się od ostatecznego z nim zerwania, do którego on widocznie dążył. Obrachował, jak się zdaje, że zmusi nas do ucieczki w końcu i przeniesienia się gdzieindziej. Szło mu o to abym rezydencji głównej na schedę moją nie wybrał. Z prawa jemu służył przywilej oznaczenia sched majątku, mnie zaś wybór pomiędzy niemi; chciał mi to miejsce zohydzić.

Zamykając gniew w sobie, cierpiałem coraz okrutniej, nienawiść braterska rosła.

Byłbym łatwiej zniósł własną boleść, ale patrząc na łzy Teresy, burzyłem się, kilka razy nawet jużem się miał wyrzec myśli pierwszej pozostania w miejscu i chciałem wynieść się do innej majętności, co by było ze wszech miar rozumnem, koniec końcem duma jakaś wstrzymała, nie chciałem aby się chlubił zwycięstwem.

Ale życie z każdym dniem stawało się nieznośniejszem, gniew wewnętrzny mnie pożerał, zatruwał wszystkie chwile, rozgorączkowywał do szaleństwa, mimo siły jaką miałem nad sobą, czułem czasami, jakbym mógł obłąkania dostać, owładywał mną szał zwierzęcy, pragnienie zemsty dzikie. Naówczas starałem się je odpędzić rzewną, gorącą modlitwą, obawiałam się sam siebie. Zdaje się że Stanisław postrzegł te moje znękanie i postanowił z niego korzystać, podwajając dumę, lekceważenie, wysilając się na urągowiska.

Raz zaprosiwszy na objad dwóch młodych ludzi, przyjaciół swych serdecznych, tak nielitościwie wprost nam dokuczał, lub słowy dwuznacznemi smagał, że mnie do największej pasji doprowadził. Drżeć mi poczęły ręce, w głowie splątały się myśli; Teresie łzy kroplami ściekły po twarzy, on nieprze-

stał sobie żartować z nas obojga. Opowiadał zmyślone historje fąmilij różnych, czyniąc alluzję do matki naszej, słowem zdawał się pragnąć wybuchu i przyprowadzić mnie do niego. Ja poskromiwszy się siedziałem jak głuchy. Teresa i ja odeszliśmy od objadu co rychlej, zostawując młodzież przy kielichach śmiejącą się na całe gardło.

Nie przerwało im to szumnej zabawy, która się długo przeciągnęła. Ja czekałem aż goście odjadą, postanowiwszy rozmówić się z p. Stanisławem otwarcie, nie mogłem znieść by pamięci mej matki śmiał lekkiemi słowy dotykać. Zebrałem resztę sił, pomodliłem się aby ich nie utracić, a gdym wiedział że Stanisław sam pozostał, zszedłem do jego mieszkania.

Zdziwiło go to przyjście moje, bom nigdy u niego, a on u mnie nie bywał, stanął we drzwiach jakby tamując mi przystęp i zapytał sucho:

— Cóż to jest? co go tu sprowadza? czem mogę mu służyć?

— Mamy z sobą do pomówienia — rzekłem, poważnie siłą wciskając się do pokoju i drzwi zamykając za sobą. Energja moja trochę go zmięszała.

— Służę — odparł — na rozkazy...

— Jakkolwiek się podoba panu bratu, rzekłem, mnie i siostrę moją uważać, prawnie przed Bogiem, światem i ludźmi, nosimy jedno nazwisko, jesteśmy rodzeństwem. Matka nasza była ubogą szlachcianką, wasza bogatą panią i księżniczką, ale ojciec jeden wasz i nasz dał nam jedno nazwisko i kochał nas miłością jedną. Jesteśmy tu, bo mamy prawo być tu tak dobrze jak i pan. Chcesz nas WPan wygnać ztąd obejściem braterskiem, to mniejsza, ale nie ludzkiem. O mnie nie idzie ale o siostrę moją. Dziś poważyłeś się WPan czynić boleśne dla nas przymówki do pochodzenia matki naszej, ja tego dłużej cierpieć nie będę....

— A któż WPana przymusza, abyś to cierpiał? spytał urągając.

— Zmusza mnie do tego — odparłem, konieczność pozostania tu aż do pewnego podziału majętności po ojcu naszym. Jest to tak dobrze moje jak twoje gniazdo.

— Zapominasz, żem starszy! rzekł.

— Ja o tem pamiętam, wy zapominacie, bo postępujecie nie po starszemu, obchodzicie się z nami nie jak brat, który się opiekować powinen, ale jak wróg, który prześladuje.

— Nie szafujcie tem braterstwem.

— Trudno się go zbyć, choć mi zaszczytu nie czyni, odrzekłem gniewny.

— No, więc czemże mi grozicie? — zapytał.

— Słuchaj — odparłem tamując się w gniewie który mną miotał — nie ja ci grożę, ale Bóg, postępujesz sobie nie ludzko, pastwisz się nad słabą, nieszczęśliwą kobietą, sierotą, pamiętaj, że to nie uchodzi bezkarnie.

— Robię co chcę — zawołał — nikt mnie z czynności moich słuchać nie ma prawa.

— Ja, ja mam prawo za siostrą się upomnieć.

— Cóż to się jej za krzywda dzieje?

— Nie zmuszaj mnie, i nie kuś do złego! nie wyzywaj nieszczęścia, zawołałem. Jestem szalony, jestem wściekły, nie będę winien jeśli mnie uczynisz zbrodniarzem.

Stanisław rozśmiał się, ale nachmurzył brew.

— Cóż to myślisz, że się ciebie ulęknę? spytał.

— Siebie, nie mnie przestraszyć się powinieneś. krzyknąłem, postępowanie twe niegodne, okrutne, podłe jest.

— Coś powiedział! — zawołał Stanisław rzucając się ku mnie.

Na te słowa nic nie odrzekłszy powoli wziąłem za klamkę i zostawiwszy go drżącym od gniewu, wyszedłem nie spiesząc.

Myślałem, że pobieży za mną, ale pozostał, a ja wróciłem rozżarzony do mieszkania, długo się uspokoić nie mogąc.

Nazujutrz gdy wybiła godzina objadu, sądziliśmy że nie przyjdzie, ale blady wszedł świszcząc, siadł na swem miejscu, jakby nas nie widział, przyprowadził dwa psy z któremi się bawił i tak ucztowaliśmy nie patrząc na siebie. Podobnie było dni następnych, dopóki ktoś z przyjaciół jego nie nadjechał. Chcąc nam pokazać że się wcale nie ulakł, rozpoczynał na nowo swe szyderstwa i przymówki, niekiedy rzucając na mnie spojrzenie z ukosa i badając wrażenie jakie to czyniło. Zaciąłem wargi, milczący, gniewny, obróciwszy się do siostry, usiłując niesłyszeć nic i nie wiedzieć. Przez parę dni następnych powtarzało się to jeszcze, znosiłem, zuchwalstwo wzrastało, gniew mój także. Ani ja ani Teresa nie chodziliśmy już do wspólnego stołu i nie widzieliśmy się z nim przez dni kilka. Postanowiliśmy zerwać zupełnie z bratem i nie zważać nań wcale. Wydawaliśmy rozkazy, on także, ale dla gróźb Stanisława nikt do naszych stosować się nie chciał. Musiałem za każdą rzeczą chodzić sam, i zniżyć się do walki ze sługami. Widząc, że nie wytrwamy w tem piekle, wezwałem na radę starostę. Przybył na wezwanie nasze, opowiedzieliśmy mu wszystko. ja byłem już tego zdania, aby dla spokoju, dla zagrożonego zdrowia Teresy ustąpić.

Stryj zostawiał do woli mojej, ale siostra dla pamięci matki nie chciała dopuścić byśmy się poniżali ucieczką z rodzicielskiego gniazda.

— Rok jeszcze przecierpim, rzekła, dział musi nastąpić.

— Ale tu dnia wyżyć niepodobna — wołałem. Napróżno usiłowaliśmy ją uprosić; Teresia płakała, jej łzy wszechmogące były dla mnie.

— Cierpmy więc, rzekłem.

Stryj poszedł sam rozmówić się ze Stanisławem, ten przyjął go grzecznie, ozięble, ale udawał, że nie rozumie o co chodzi — odpychał wszelkie pośrednictwo. Postanowiliśmy znowu unikać go. udawać głuchych, lecz nie ustąpić.

Gdy w kilka dni po odjeździe stryja przekonał się, że usunąć się nie myślimy i czaszę postanowiliśmy do dna wypić, znowu go niecierpliwość gorętsza jeszcze niż przedtem porwała, rozpoczął walkę z gwałtownością większą daleko niż wprzódy. Wszystkie przykrości, jakie mógł nam tylko uczynić. robił jawnie i wsposób tak boleśny, że znowu zwątpienie opanowało, czy wytrzymać je potrafimy. (C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

Nic więc dziwnego, że wrażenia wzrokowe tak bardzo opanowały całą naszą umysłowość, uczucie i wyobraźnię. A jednak wzrok nie posiada ani jednej cząstki tej samodzielności, co pierwsi jego nauczyciele: zmysł mięśniowy i dotyk.

Okaże się to najwyraźniej z następujących doświadczeń: Ręce mogą być używane pojedynczo, i tak też jest najczęściej, że przez jednę rękę odbieramy całkiem odmienne wrażenia aniżeli przez drugą, – tymczasem z oczami rzecz się ma przeciwnie; te zwykle służą nam do ujęcia jednego tylko i tego samego przedmiotu. Stąd też kwestja, dlaczego czujemy pojedynczo, nie powstaje wcale przy dotyku, a natomiast dla wzroku stanowi ważne zagadnienie. Doświadczenie przekonywa, że jeżeli promienie od jednego przedmiotu pochodzące padają współcześnie na sam środek siatkówki, albo też na punkta symetryczne, wówczas widzimy go pojedynczo, jeśli jednak kierunek osi optycznych jest taki, że dwa obrazy padną na punkta nie odpowiadające sobie, wówczas widzimy dwa przedmioty zamiast jednego. Tak np. patrząc stale na punkt odległy, zobaczymy palec trzymany przed oczami podwójnie, patrząc zaś stale na palec zobaczymy podwójnie przedmiot odległy np. okno. Widocznie więc widzenie pojedyncze wtedy tylko ma miejsce, kiedy osie oczne schodzą się na samym przedmiocie, tworząc kąt mniejszy lub większy stosownie do odległości. Ile razy wierzchołek tego kąta przypada przed lub za przedmiotem, tyle razy widzimy go podwójnie. Naodwrót jeśli weźmiemy dwie rurki i przyłożymy każdą z nich do jednego oka ale w ten sposób, że jedna będzie skierowaną do jednego przedmiotu np. do kuli bilardowej, a druga do innej takiejże kuli bilardowej obok leżącej, to ponieważ w takim razie każda kula leżyć będzie na jednej osi ocznej, a my przywykliśmy widzieć przedmiot na przecięciu obu osi, więc też wrażenia odebrane odniesiemy do przecięcia się przedłużonych osi i będziemy sądzili, że widzimy jednę tylko kulę bilardową.

Każde oko widzi zawsze jeden i ten sam przedmiot z różnej strony. Łatwo się o tem przekonać patrząc np. na przedmiot jakiś niedaleko od ściany tapetowanej stojący raz jednem to znowu drugiem okiem. Wówczas wydaje się nam, jak gdyby ten przedmiot przeskakiwał to na prawo to na lewo, za każdym bowiem razem zasłania nam inną część tapety. Przez to właśnie, że jedno oko widzi więcej z prawej strony przedmiotu, drugie zaś z lewej, utrzymuje się w nas poczucie bryłowatości, pierwiej przy pomocy dotyku i zmysłu mięśniowego zdobyte. Na tej to zasadzie polega powszechnie znany przyrząd optyczny *stereoskop*. Dwie fotografie z różnej strony zdejmowane, łącząc się w oku przy pomocy odpowiednich szkieł, dają nam widok jednego obrazu ale ze wszelkiemi pozorami wypukłości.

Lecz nastręcza się tu jedno jeszcze pytanie. Wiadomo, że obraz, który w skutek załamania się promieni w soczewce pada na siatkówkę jest odwróconym — jakimże więc sposobem widzimy wszystko wprost nie zaś jak to mówią do góry nogami. Przez bardzo długi czas łamano sobie

*

nad tem głowę i wymyślano najrozmaitsze objaśnienia: jedni utrzymywali, że ponieważ wszystko widzimy odwrócone, więc wychodzi to na jedno jak gdybyśmy wszystko wprost widzieli — nie mamy bowiem sposobu porównania. Tymczasem przy patrzeniu przez teleskop, gdzie także nie ma sposobu porównania, widzimy przecież przedmioty odwrócone i najdokładniej o tem wiemy. Inni znowu, i tych jest najwięcej, utrzymują wprost, że oko odnosi zawsze wrażenia po promieniach, że więc jakkolwiek promień z góry pochodzący, odbija się u spodu siatkówki, to jednak my go odnosimy po linji prostej do jego ujścia. Ale jest to tylko opisanie faktu, nie zaś objaśnienie go. Oczywiście tak jest, ale właśnie o to chodzi, dlaczego odnosimy tak nie zaś inaczej. *Cała tajemnica w tem, że układ obrazów w przestrzeni nie jest dziełem wzroku lecz zmysłu mięśniowego.* My nie dlatego odnosimy wrażenie sufitu do góry a wrażenie od podłogi pochodzące ku dołowi, — że patrzymy według promieni co zresztą niczego nie objaśnia — lecz dlatego tylko, że chcąc dostać do sufitu muszę zużyć pewnej siły muskularnej inaczej, aniżeli chcąc się zniżyć do podłogi; kładę rękę na podłodze i widzę, że zasłania mi ona część wrażeń wzrokowych od podłogi pochodzących, i wtedy dopiero skojarzenie się tych wrażeń uczy mnie rozróżniać położenie odległości przedmiotów. W tych zaś doświadczeniach pomagają mi i mięśnie oczne. Ten punkt, przy którego obserwowaniu mięśnie różnych stron oka znajdują się w równowadze, nazywam punktem wprost przedemną leżącym. Wszelką zaś przewagę skurczu jednych mięśni nad drugiemi nazywam odpowiednio patrzeniem w górę, jeśli górne mięśnie więcej są ściągnięte — w prawo — jeśli prawa ich strona jest więcej czynną i t. d.

Układ obrazu na siatkówce jest tu rzeczą całkiem obojętną, my bowiem sądzimy nie według kierunku promieni, których zresztą bez pomocy mięśni ocenić nie możemy, lecz wyłącznie według kierunku oczu, czyli według kombinacji skurczeń mięśniowych.

Jeszcze w r. 1859 kwestję tę rozjaśnił u nas prof. Szokalski — a tymczasem do dziś dnia trafiają się podręczniki francuskie i niemieckie, w których stara teorja jak za panią matką jest powtarzana.

Poznawszy działanie wzroku, stanęliśmy tem samem u kresu naszego opisu różnych rodzajów wrażeń pod względem ich jakości. Teraz pozostaje nam zastanowić się nad powszechnemi własnościami wrażeń niezależnie od tego, jaki zmysł je wywołuje, i uogólnić nasz pogląd na znaczenie wrażeń w ogóle, tak dla rozumu jak dla uczucia i woli.

Przedewszystkiem każde wrażenie, bez względu na swą jakość, może być *silnem* lub *słabem*. Są pewne stopnie słabych bodźców, tak słabe, że wcale nie wywołują wrażenia. Tę granicę, przy której wrażenie może już być wziętem jako wrażenie najsłabsze, nazwiemy *pierwszym stopniem* albo *minimum* wrażenia. Tak np. oko może odróżnić oświetlenie białego papieru światłem 300 razy słabszem od promieni księżycowych w pełni (Auber). Będzie to więc pierwszy stopień wrażenia światła. Ucho może już ocenić szmer kulki korkowej ważącej $^1/_{1000}$ część grana i spadającej z wysokości 1 m. m. w odległości 9 cent. od ucha (Schafhäut). W zakresie dotyku zaledwie czuć możemy $^2/_{1000}$ gr. (Auber i Kammler). We wrażeniach ciepła różnica $^1/_{10}$ ° c. już daje się ocenić (Wundt). Że nasza wrażliwość w ogóle dopiero od pewnej granicy może być czynną, dowodzi tego najprostsze zastanowienie się nad zjawiskami. I tak, już Hamilton zwrócił uwagę na to, że jeżeli słyszymy szum morza z odległości, to dlatego tylko, że od szumu jednej fali, który jest niedostępnym dla ucha pojedynczo, przyłącza się szum wielu innych wzmacniając siłę ogólnego wrażenia. Tak samo możemy niesłyszeć głosu dzwona z większej odległości; ale jeśli obok niego poruszymy kilka lub kilkanaście innych, wrażenie będzie wyraźne. Zatem widoczną jest rzeczą, że wrażenia świadome składają się ze zbioru wrażeń bezwiednych. Tak samo wreszcie przy obrocie koła uderzającego o kartę, słyszymy pojedyncze uderzenia dopóty tylko, dopóki szybkość obrotu nie jest wielką, zaś przy powiększeniu jej już zamiast szeregu uderzeń słyszymy jeden *ton*, który więc widocznie powstał ze złożenia się drobnych osobno nierozeznawanych wrażeń uderzenia w jednę całość dźwięczną.

W naturze mogą istnieć miljardy drgań większych i mniejszych, wolniejszych i szybszych— ale my ujmujemy je tylko w pewnych granicach i tylko przez to, t. j. w skutek ograniczoności naszych zmysłów możemy rozróżniać wrażenia. I tak, w miarę wzrastania szybkości drgań materji ujmujemy je najprzód jako szmer: mniej więcej od 1 do 14 drgań na sekundę — większa szybkość aż do 36000 mniej więcej rodzi różnorodne wrażenia tonów. Dopiero około 100 biljonów drgania stają się dla nas ciepłem: przy 450 biljonach przechodzą w światło czerwone, 790 bilj. w fijoletowe, a jeszcze szybsze drgania mają dopiero własność działania chemicznego na nos i język, dając wrażenia węchowe i smakowe. Są to jednak wszystko przemiany jakościowe, których my bynajmniej za stopniowe wzmacnianie siły nie uważamy. O sile bodźców dla nas stanowi wyłącznie wysokość drgań czyli ich odchylenie; im większą *przestrzeń* zakreśla cząstka to w tę to w drugą stronę, tem wrażenie staje się silniejsze, nie zmieniając przecież swej jakości, która znów od *liczby* drgań na sek. zależy.

Jeżeli jednak istnieje granica wrażliwości dla *minimum* siły bodźców, — to istnieje ona i dla największego jej natężenia, które nazwiemy najwyższym stopniem albo *maximum* bodźca. Zbyt silny promień światła oślepia siatkówkę i nie daje się rozpoznać dokładnie, tak jak inne słabsze wrażenia. Zbyt silny huk sprawia tylko wstrząśnienie i paraliżuje nerw słuchowy na zawsze lub na czas pewien i t. d. Ale maximum owo nie jest jednakowem dla wszystkich wrażeń, a nawet różnem jest dla różnych wrażeń wzrokowych tak samo jak i *minimum* siły Wrażenia wzrokowe prędzej dochodzą do swego max. aniżeli słuchowe — a słuchowe prędzej aniżeli dotykowe. W ciemności ujmujemy jeszcze kolory niebieskawe, gdy tymczasem kolory czerwone są już całkiem niewidzialne, — zatem minimum pierwszych dalej leży niż drugich (Helmholtz), przeciwnie promienie żółte w niższym stopniu już rażą oko a niżeli czerwone, a czerwone prędzej niż fijoletowe (Volkman); zatem maximum ich sięga wyżej niż pierwszych.

W granicach *maximum* i *minimum* jasność wrażeń wzrasta wraz z siłą — po za niemi nie ma dla nas wrażeń, a więc nie ma i zjawisk.

(Dok. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

Chociaż w 18 i 19 wieku wiele było przeszkód stojących na drodze oswobodzeniu kobiety, nie mogły one jednak zupełnie powstrzymać postępu w tym względzie. Z drugiej strony i sama kobieta daleko dojść nie mogła, bo nie miała wykształcenia i pojęcia o prawdziwych potrzebach swoich. Dla tego też przy każdej reakcji ona traciła prawie wszystko co z takim mozołem uzyskała, bo obskurantyzm spieszył zniszczyć rezultaty poprzednich usiłowań a było to łatwem, gdyż prawo nie było po stronie kobiety. Prawo moskiewskie pod względem władzy rodzicielskiej i mężowskiej dotychczas zachowało swój patryarchalny charakter. Rodzice dotychczas mają nieograniczone prawo karać swe dzieci nawet dorosłe więzieniem a nawet i cieleśnie. W samym Petersburgu siedzi w domu poprawy wielu ludzi, których rodzice oddali; jest tam dwóch kupców, jeden dymisjonowany kapitan i jeden profesor — a za co? Oto kupiec osadził syna w domu poprawy za to, że ten skończywszy gimnazjum nie chce stać za ladą, lecz życzy sobie wstąpić do uniwersytetu; drugi, że syn nie chce dać pieniędzy na utrzymanie kochanki ojcowskiej; trzeci, że pomimo woli ojca wziął dymisję z wojskowej służby. Sąd nie może przyjąć żadnej skargi syna na ojca, a od rodziców, którzy skarżą, nie żądają żadnych dowodów. Prawo nie wkłada na rodziców obowiązku wychowania i wykształcenia dzieci, zostawiając to ich własnemu sumieniu, lecz od dzieci mymaga nietylko bezwarunkowego posłuszeństwa i miłości dla rodziców, ale obowiązuje utrzymywać ich, jeżeli są biedni, pomagać im i spełniać ich rozkazy. Chociaż małżonkowie pod względem majątkowym mają jednakowe prawa, jednakże mąż ma władzę nieograniczoną nad żoną (T. 10 §. 179). W ostateczności dopiero prawo występuje przeciw barbarzyństwu męża i to nie inaczej, tylko jeżeli sprawa przyjęła charakter zbrodni. Dla tego też u kupców, mieszczan i włościan dotychczas istnieje przekonanie, że mąż może bić, siec, kaleczyć, a nawet zabić żonę swoją. W 1871 r. w szadzyńskim powiecie jeden włościanin wbił w ciało żony swojej kilka gwoździ bez główek, kilka czerepków szklanych, kilka wielkich igiełek obwiniętych szmatą i klin drewniany. Wiele pracy miał lekarz, nim je wydobył z ciała nieszczęśliwej. Takie tyrańskie obchodzenie ciągnęło się czas długi, lecz biedna nie śmiała skarżyć, bo mąż powiedział, że przy pierwszem słowie ją zabije. Wprawdzie w podobnych kryminalnych sprawach rząd ściga męża, nawet daje kobiecie rozwód, jeżeli mąż zasłużył na pozbawienie wszelkich praw stanu i odesłanie na Sybir, lecz w rzeczach mniejszej wagi, jak naprzykład biciu, kaleczeniu i t. d. nie występuje w obronie kobiety. Prawo moskiewskie pozwala mężowi żądać od policji przysłania mu szupasem żony, która go porzuciła. Takie odsyłanie żon mężom robiło się dawniej na koszt skarbu państwowego, lecz dzisiaj mąż sam płaci koszta szupasowe. Mężowie prawnie zmuszają, żeby żony ich kochały!

VI.

Literackie prace pani Żorż Sand silnie wpłynęły na pojęcia Moskiewek i Moskali o miłości. W jej powieściach miłość przedstawia się jako ideał najpiękniejszych uczuć człowieka, a szacunek dla kobiety jest w nich podniesiony do najwyższego stopnia. Kobieta poprawia zwyczaje, uszlachetnia mężczyznę, zmienia na człowieka najdziksze zwierzę. „Miłość nie jest ostatecznym celem życia kobiety, mówi Lelia, za jej granicami jest inny świat, świat nowych pragnień, nowych potrzeb, nowych nadziei.“ I chociaż Ż. Sand nie wyjaśniła, jakie to były te nowe ideały więcej wzniosłe, aniżeli miłość, jednak kobiety pojęły ją sercem, i zaczęły dążyć do emancypacji, równouprawnienia i wyższego wykształcenia. Podnosząc kobietę i uszlachetniając miłość, Ż. Sand rozpowszechniała myśl o potrzebie swobody uczucia i nadania kobiecie czynniejszego stanowiska w społeczności. Myśli tego genjalnego pisarza nie przez wszystkich były pojęte jednakowo; wiele Moskiewek wyższego towarzystwa rzuciło się w odmęt rozpusty, nie ukrywając swego zepsucia, chwaląc się niem, robiąc z niego modę, bo takie życie uważały za postęp, za wyższe wykształcenie, wolne od przesądów. Nie ukrywano się z postępkami, nie robiono ceremonji w wyborze słów dla wyrażenia najrozpustniejszych myśli. W końcu panowania Mikołaja, gdy żadne społeczne pytanie nie mogło być poruszone przez literaturę, gdy nawet gabinetowa prasa była rzeczą nie zupełnie bezpieczną, kwestja miłości jakoś prześliznęła się przez cenzurowe walce, chociaż literatura mogła ją opracowywać tylko w belletrystycznej formie. Lecz forma ta była najdostępniejszą dla większości, i dla tego romansopisarze pierwsi dali kwestji kobiecej prawo obywatelstwa w literaturze i rozszerzali w społeczności moskiewskiej te myśli, które już opracowała europejska cywilizacja. Powoli nastąpiła reakcja przeciwko ogólnie przyjętemu zdaniu, że kobieta powinna ograniczyć się na obowiązkach rodzinnego życia i żyć tylko sercem. Kobietom przyszli w pomoc ludzie myśli i serca jakimi byli: Stankiewicz, Hercen, Bieliński i Granowski. Pracą swoją obudzali oni społeczną myśl, rozpowszechniali wiadomości, kształcili ludzkie uczucia i rozwijali pojęcia o obowiązkach obywatelskich. Oni wpłynęli także na wykształcenie swych żon, sióstr i córek, podnosząc ich wiedzę, uszlachetniając ich serce. Ten rozwój kobiety, za pomocą domowej, prywatnej, przyjacielskiej propagandy, istnieje nieustannie i odda wielkie usługi sprawie kobiety. Propaganda ta wytworzyła całą falangę kobiet-ludzi. Teoretyczna myśl, po strasznej porażce pod Sebastopolem, zaczęła szukać środków do zastosowenia w praktyce. Po uwolnieniu włościan, wielu ludzi żyjących cudzą pracą do tego czasu, wpadło w nędzę; potrzeba było myśleć o ratowaniu się, o zabezpieczeniu życia za pomocą pracy ręcznej i umysłowej. Kobieta zapragnęła nie tylko miłości swobodnej, lecz równouprawnienia z mężczyzną, niezależności od niego. Uczuła ona potrzebę stać się robotnicą, zrównać się wykształceniem z mężczyzną. Nigdy dążenie do kształcenia się nie było silniejsze jak po wojnie krymskiej. Instytuty i pensjonaty nie mogły uczynić zadość potrzebie. Otworzono żeńskie gimnazja, które odróżniając się od pierwszych tylko brakiem dawnego kastowego charakteru i koszarowego zamknięcia, nie mogły dać dziewczętom gruntownej nauki, jednak rozszerzyły ją w cokolwiek większem kole. Gimnazja nie mogły dać kobiecie więcej środków do życia, bo wykształcenie w nich było bardzo powierzchowne. Zrozumiawszy to kobiety zaczęły szukać środków do wyższego wykształcenia. Z początku sale uniwersytetów i medycznej akademji napełniły się słuchaczkami, lecz wskutek studenckich historyj, zabroniono kobietom uczęszczać na kursa razem z mężczyznami. Kobiety prosiły o utworzenie uniwersytetu dla nich, lecz było to niemożliwem; zamiast tego otwarto dla kobiet publiczne kursa w Petersburgu, Moskwie i innych miastach. Na lekcje rzuciło się mnóstwo słuchaczek, lecz wykłady te nie miały gruntownego naukowego charakteru, popularyzowały tylko naukę. Jednak te publiczne lekcje, nie mogące zastąpić systematycznej i gruntownej nauki dawanej na uniwersytetach, rozwinęły ochotę do nauk, do pracy. Wiele Moskiewek udało się do Zurychu, do Paryża, do Ameryki, Anglji i do Helsinforsu, gdzie uniwersytety są dostępne dla kobiet. Lecz były to kobiety z dostatkiem i dobrze znające języki; ten sposób wykształcenia nie jest dostępnym dla większości, dla tego żeńskiego proletarjatu, dla którego kwestja wykształcenia jest zarazem kwestją chleba. (Dok. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Chrześcijańska część wyspy była na północy, tam byli dwaj amerykańscy misjonarze. Biczkombery byli rozsypani na całej wyspie nie wchodzili mi więc do rachunku. Trzydzieści mil transportu w lagunie po części płytkiej, przedstawiało mi wiele trudności i kosztów. Byłem skłonny do zostania w Roan Kitti, ale nie chciałem roztrzygać za prędko. Przez czas układania mych planów, zaczęły mnie dolatywać coraz częściej, głośno wymawiane wyrazy, śmiech i angielskie klątwy. Nie miałem potrzeby pytać kto to był, widziałem jak zabłysło oko Nanikina na widok butelki. Nie długo pospodarz i gość wyszli z kajuty i byłem świadkiem po raz pierwszy, pijanego krajowca, naczelnika. Ów spokojny, dumny człowiek, stał się teraz wrzaskliwym i pełnym śmiechu.

— Ha ha! Captain... captain... nie złapiesz mnie... ja złapię ciebie... he, he, he!... be dam... captain... daj mi jeszcze raz... ja ci dam... be dam! hehe!

Kapitan, który umyślnie spoił naczelnika, aby go sobie zjednać, z jak najzimniejszą krwią słucha nazwy jakie mu daje ów niby „niger,“ bynajmniej nie gniewa się, że go pijany krajowiec nazywa „psim synem“ i obdarza klątwami nader plastycznemi, w które żeglarski język obfituje. Owe upokorzenie zostaje pokryte interesem. Jutro przyjdzie kilka tłustych świń, znów sposobność zarobienia pod rubryką „prowiant“ kilku dolarów, a dolar to plaster wyśmienity na rany ciała i duszy.

Spojony Nanikin opuścił okręt, albo raczej został spuszczonym z okrętu i kapitan dał mi następny sens moralny: „z tego coś pan tu widział wypływa, że Nanikin jest poczciwym człowiekiem, szkoda tylko, że ma za słabą głowę i po kilku kieliszkach jest za wrzaskliwym. Jeżeli chcesz z nim robić interes, zaczynaj dając mu pierwszy łyk i kończ z trzecim, dalszy napój jest wyrzuconym. Ląduj a póki masz w domu wódkę, będziesz panem Roan Kitti.“

Mą odpowiedź, że dziękuję i z chęcią bym poszedł za jego radą, gdyby przedmiotem mych podróży była tylko tłusta nierogacizna i chude dziewczyny, przyjął kapitan z widocznem zgorszeniem i nazwał mnie „poetą“ co miało najpewniej znaczyć głupcem, nie potrafiącym wyzyskiwać wyśpiarzy.

Tego samego dnia, to jest pierwszego mego przybycia do Ponepe, miałem sposobność poznania jednego biczkombera i to do tego biczkombera par excellance, arystokratę swego zawodu. Był to młody, pięknego wzrostu człowiek o inteligentnych rysach twarzy, ze swobodnem obejściem i nie złą edukacją, którego rodzice mają poważną pozycję w Anglji i który wbrew ich woli poszedł na morze i nareszcie na oddalonej Ponepe znalazł niby cel swych marzeń. Jak najregularniejsza biała twarz, okolona długą brodą, brunatne przenikliwe oczy, białe delikatne ręce, wskazywały przebiegłego, nie bardzo ręczną pracę lubiącego panicza. Był on nie źle z kapitanem i wskutek tego zastałem go rozciągniętego na kanapie naszej kajuty, z kapeluszem na głowie, fajką w gębie, skrobiącego scyzorykiem paznokcie. Spotkawszy już raz tego gentlemana na wyspach pelawskich, nie znaleźliśmy się w potrzebie przedstawień i dla tego przywitał mnie wchodzącego do kajuty, familjarnem: Good day Mr! jest to bardzo pięknie, że pan przybywasz, więcej będzie towarzystwa, roztargnienia.

— Zapewne — odrzekłem — ale pobyt mój tutaj krótkim będzie i nawał zajęć nie pozwoli mi korzystać tyle z jego towarzystwa ileby było pożądanem.

— Przedewszystkiem trzeba panu wiedzieć — zaczął w poważnym tonie Tom — że praca jest przeciw pierwszemu zasadniczemu prawu na Ponepe — i śmiejąc się ze swej żartobliwej prawdy, usunął nieco swe nogi, dając mi stopę miejsca na kanapie.

Pomimo całej mej odrazy do tego rzędu ludzi, bynajmniej nie byli oni mi obcymi i wiedziałem jakiego im należy dać obroku. Popatrzywszy więc na jego długie nogi zawołałem:

— Steward! (posługacz.)

— Sir!...

— Porusz nogi Toma jard na lewo i przynieś butelkę porteru.

W mgnieniu oka Tom siedzi jak świeca, wprzód nim posługacz się zbliżył, ale się omylił co do strony kanapy. Jedna połowa była moją, druga kapitana; by posługacz mógł wydobyć flaszkę z wnętrza kanapy, musiał przedewszystkiem poruszyć Toma Z widocznem utrudzeniem wstał, z chwilą gdy posługacz wydobywał ów porter, ja zająłem kapitańską połowę i zaprosiłem Toma do siedzenia na ławie znajdującej się z drugiej strony stołu.

— Steward!

— Sir!...

— Dwie szklanki, Mister Tom...

— Yes Sir!

Zdobywszy kosztem jednej butelki porteru własne moje miejsce, postanowiłem pogawędzić z Mister Tomem, który tu kilka lat przebywał. Jego eksplanacje obracały się tylko koło jednej osi, a tą była ślepa nienawiść do misjonarzy. Niepodobna mi tu choć z lekka dotknąć tych klątw i plotek.

Mister Tom zaprosiwszy się sam na objad,

został na okręcie i po rozdzieleniu zupy, zaczął ogólną konwersację.

— Przynajmniej człowiek znów odżyje, kuchnia pana K. w Pelau była wyśmienitą i prawdziwie jestem szczęśliwy, mogąc mu towarzyszyć przy objedzie.

— Na pokładzie okrętu, bez wątpienia — odrzekłem — a czułem, że mi krew do mózgu się podnosi na taki bezwstyd oceańskiego Jazona.

— O bez obawy, moja plantacja w N. N. nie dopisuje, żyję obecnie w Kitti, a więc bardzo blisko i może pan liczyć na mnie, przyczem i wpływ mój na krajowców jest na pańskie usługi.

Obaj sternicy i kapitan z uśmiechem słuchali, co awanturnika tylko zachęcało. Nareszcie kapitan przerwał:

— W rzeczywistości panie K... jest to szczęśliwy traf. Tom jest prawdziwą książką i obznajomi pana z całą historją tej wyspy, przytem wesoły towarzysz i będzie panu wielką pomocą do...

— Do jedzenia mych objadów, wpadłem mu raptem w pochwały Toma. Bardzo wierzę, lecz przywykłszy uważać doświadczenie za lepsze niż patronat, wątpię czy wpływu pana Toma będę potrzebował. Co zaś do objadów, to życzę mu przynieść własną łyżkę, własną miskę i prócz dobrego apetytu własne potrawy.

Homeryczny śmiech całego towarzystwa uciął mi dalsze słowa, któremi chciałem mu dać wyraźnie do zrozumienia, że nie myślę paść darmozjada. Tom, który ani się rozgniewał, ni obraził, śmiał się głośniej niż inni. A cóż za gruboskurny duch, pomyślałem sobie.

Postanowiłem wylądować w Roan Kitti i w tym celu objąłem budynki miejscowej agentury, która została przeniesioną na północ. Oprócz mieszkalnego domu, była tam szopa dla czółen i obszerna kameryna na skład. W kilka dni znalazłem się urządzonym, lecz co dziwniejszego, znalazłem również urządzonym Toma i do tego w mojej kamerynie, czyli składzie. Na jednej stronie przy drzwiach stało chwiejące się rusztowanie, widocznie służące za łóżko, na gwoździu wbitym w jeden z pali, wisiało zbite lusterko, w wyłamanym końcu zatknięty był tłusty szczerbaty grzebień.

— Haloo Tom! a pan co tu porabiasz!

— Przybyłem właśnie z okrętu.

— Mnie odwidzić? Bardzo mi miło, lecz dom mój jest kilka kroków dalej, tutaj jest tylko mój skład.

— Bezwątpienia... lecz „by the by“ zapomniałem wspomnieć, że w ostatnim czasie żyłem z tutejszym agentem Johnem w owym domu, widząc więc, że pan takowy zajmujesz, sądziłem, że pan nie znajdziesz nic przeciw memu chwilowemu pobytowi w składzie.

— Oo!... jesteśmy więc bardzo bliskimi sąsiadami?

— Jak pan widzisz, zrozumiałem więc jest, że bez subjekcji mogę panu dotrzymać kompanji.

— Hm, do tysiąca djabłów, ja nic nie widzę, lub przynajmniej widzę, że ta cała sprawa jest niezrozumiałą. Zresztą Mister Tom, proszę do mnie, pogawędzim z sobą w zaufaniu i zobaczym czy mój Hennery brandy jest wart próby.

— All right Sir! (C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Innym sławnym Rodejskim rzeźbiarzem był Glaukon. Arcydziełem jego wielce sławny Herkules Farneze, obecnie w Neapolu widziany. Kolos ów, pierwotnie dla Tarentu wykonany a przez Hanibala do Kartaginy wysłany, przybył do Rzymu po upadku afrykańskiej stolicy. Jest to olbrzymia masa muskułów, ożywiona duchem dobroczynnego boga. Proporcje Herkulesa przypominają dzieła Fidjaszowe, a piękny olbrzym ma kilkadziesiąt stóp wysokości. Włos i broda kręcą się w krótkie kędziory, a muskuły wszystkie wystają potężnie świadcząc o wiecznym trudzie. Wszystko to kolosalne, spokojne i potężne. Olbrzymie ramię zwisło jakby z trudu bezsilne, olbrzymia pierś sparta o nadludzką buławę. Kark zgiął się, i plecy się zgarbiły pod brzemieniem trudów i siły. Bo choć to olbrzym ztrudzony, jeszcze dziś najlżejsze poruszenie ręki starczyłoby by woła powalić. Twarz zupełnie spokojna, tylko smutek pewny siadł na uściech. Oko spuszczone na ziemię z wyrazem łagodnej dobroci, która się niewysłowioną staje, gdy człowiek patrząc na ogrom sił domyśli się, że one w służbie ludzkości sponiewierane. Cóż to za trudy nadludzkie tego olbrzyma znużyły! Artysta po raz pierwszy w pogaństwie mówi o ofiarnej miłości boga dla ludzi. Nie każdy jednak, co na Herkulesa spojrzy, odejdzie z tem przekonaniem. Wielu chwalić go będą, albo ganić jako masę muskułów.

Nil Watykański może także z Glaukonowego dłuta pochodzi. Olbrzym to o spokojnie pięknem ciele, o długiej brodzie, długich włosach, i arcypięknej, męskiej, Jowiszowej prawie twarzy. Tylko realistyczne proporcje nóg, rąk i wypukłego czoła, tylko zbyt cieliste i szerokie torso, przypominają w Nilu owym szkołę rodejską. Bóg rzeczny legł, sparty ręką o urnę, z której woda się sączy. U głów stoi róg obfitości, a po całem ciele roi się, jakby z owego ciała szerokie wyszło życie. Szesnaścioro dzieciaków krąglutkich, pyzatych i małych biega po bogu. Nil na dzieci swoje patrzy spokojnie i miłośnie. Wszystko to najprawdziwszym wyrazem rodejskich dążności. Człowiek patrząc na to cieszy się pyzatem życiem i szaloną obfitością. Ciało rośnie niby i wzmaga się na ten widok.

A siłą także tylko i ciałem, przy Herkulesie w Neapolu ustawiony tur Farnezyjski; ciałem przedewszystkiem cały rój rodejskich Amorków, którym zdrowie trzyletnią twarzyczkę na kształt jabłka wypełnia, i którym uciecha życia uśmiech na pyzate buzie wywołuje; amorkowie ci tak niepodobni do rozmarzonego watykańskiego Erosa!

III.

W epokach sztuki greckiej odzwierciedla się cała przeszłość tego narodu. Najpierw sztuka i naród zostają przez długie wieki pod obcemi wpływami Assyrji i Egiptu. Poznanie ludów obcych rozwija umysł Hellenów, który raz poruszony znajduje olbrzymi materjał dla siebie w rozmaitości własnej ojczyzny. I sztuka podobnież przybiera z czasem samoistny helleński, ale zrazu rozumowy tylko charakter. Dorycka świątynia ujęta ścisłym matematycznym ładem, jasno tłumaczy się widzowi ze swojej techniki, a posąg archaistyczny nosi na sobie piętno dwojakiej rozumowej pracy: raz artyści łamią się z trudnościami technicznemi swego zadania, a drugi raz badają tajemnice ludzkiego i zwierzęcego ciała. Kalamis doskonałe konie, Ageladas, Miron i Pitagoras najpierw doskonałych tworzą ludzi. Gdy się marmur i spiż posłusznemi dłutu stały, i gdy anatomią ludzką zbadano, przystąpił Poliktet do dalszego zadania rozumowego i usiłował przedstawić samoistnie ideał człowieka. A cały ten ruch samoistny sztuki helleńskiej odbył się wtedy, gdy i polityczne i filozoficzne życie Grecji, wśród szczęku bitew Medyckich, świadomie samoistny kształt przybrało.

Nastaje potem za dni Periklesa pełny, spokojny rozkwit helleńskiego ducha. Wtedy to Hellada przedstawia w zupełności oku ludzkości zbadany już ideał. Ideał człowieka, i cielesny i duchowny patrzy z posągów Fidjaszowych, a abstrakcyjniejszy, ogólniejszy i niedostępniejszy jeszcze ideał występuje w wydoskonalonem już budownictwie dorj ckiem. Te wizerunki ideału zdają się żyć, zbliżają do człowieka, zrastają się z jego duszą i budzą tak zwane estetyczne współczucie. Ale górność tych tworów przeraża, i z tego wszystkiego budzi się mięszane uczucie grozy.

W krótce potem życie polityczne greckie nowej ulega zmianie. Surowy, przez Delficką wyrocznię objaśniony ład helleńskich rzeczypospolitych rozprzęga się, a oczucia namiętnej helleńskiej indywidualności biorą górę. To też i sztuka w nowe wstępuje koleje. Nieodstępując od idealnego typu, pragnie ludzkie namiętności w bogach odtworzyć, i tak kosztem duchowej górności posągu, zbliża bóstwo do gwałtownej natury ludzkiej. I z tąd to patetyczny, tragiczny żywioł tak wielką rolę gra w sztuce Praksitelesa, Skopasa i Alkomenesa. Obok tego występuje wdzięk drobny i swobodny Jońskiego stylu, obok tego rozwija się wreszcie pochlebiająca miłości własnej jednostki komika. Budzi się w Helladzie czarowny chór płaczów i śmiechów, co był dziką pogrzebową pieśnią helleńskiej wolności. Miecz Macedońskiej dynastji czyni wreszcie koniec i wolności i wojnom domowym Hellenów, a wraz z życiem i sztuka na trzyźwiejsze, powszedniejsze zstępuje tory. Filozofja stoiczna i polityka Achajska, wraz z Lizyppową sztuką nawołują do naśladowania cnoty ludzkich bohaterów. Sztuce Pergamskiej chodzi już tylko o popis technicznych i etnograficznych wiadomości.

Wreszcie rzymska niewola nastaje w starożytnym świecie, i Grecja albo o przeszłości wielkiej smętnie marzy, albo wraz z Rzymem oddaje się zmysłowej, bezmyślnej swobodzie i rozpuście. I sztuka tą samą idzie drogą. Obok licznych naśladowań i kopij widzimy nowe typy, które fizyczną siłę ubóstwiają, a inne jeszcze, których celem rozdrażnienie nerwów i zmysłów. Rzeźbiarstwo służy do wzbudzenia fizycznych roskoszy, a budownictwo dźwiga przestronne i cieniste, a okazałe koryncke świątynie.

Uczucie piękna przechodziło tedy u Greków różne koleje. Najpierw dopomagało rozwojowi rozumu, albo pochlebiało mu wskazaniem zwycięzonych trudności. Po tem budziło współczucie dla istot pięknych, śmiech pogłaskanej pychy, a wreszcie podziw dla wysokiej ludzkiej cnoty. Nareszcie zmysłom już tylko pochlebiało. Zawsze jednak cieszyła naszą indywidualność. Wynosiło ją poczuciem rozumowej wyższości, albo łączyło z istotami wyższemi. Dzieła ostatniej epoki przekraczają często granicę właściwego piękna do niższych zmysłów przemawiając, i są

o tyle tylko piękne, o ile się do ideału zbliżają, albo o ile doskonałe okazują wykonanie. Otóż trzeba przyznać, że nawet te najpóźniejsze dzieła w wysokim stopniu obydwom tym warunkom zadość czynią — choć nie są już tak idealne jak dzieła Fidjaszowe, są idealniejsze od wielu, i to sławnych, późniejszych, a wykonaniem żadnym nie ustępują. Co do idealizmu, komiczne tylko i Pergamskie prace ważniejszy w skulturze stanowią wyjątek, a one przedstawiają przeciętny typ jeśli nie całej ludzkości, to jakiegoś jednego ludzkiego plemienia. Otóż typiczność jest niższym stopniem idealizmu.

Choć joński i koryncki styl mniej rozumowy i mniej idealny od Dorycyzmu, i one jasną okazują technikę, a przedewszystkiem i u nich kolumna jest bardzo osobistą, bardzo abstrakcyjną i piękną jednostką. U Rzymian i w średniowiecznej Europie łuk i filar stały się jednostkami architektonicznemi. I one mogą być matematycznie piękne, ale nigdy nie staną się tak osobiście pięknemi jak kolumny i architrawy. Części rzymskiej i gotyckiej architektury zlewają się z sobą, i z tąd powstaje zawsze jakaś niejasność i jakaś nieosobistość.

Grecy wywoływali sztuką swoją uczucia wdzięczne, tragiczne i komiczne, a wreszcie nawet wychodzące poza obręb estetyki uczucia zmysłowe. Ale trzy tylko rzeczy uważali za konieczne warunki powodzenia dzieła sztuki. Najpierw techniczną doskonałość, powtóre matematyczną jasność, po trzecie wreszcie piękność idealną, większą lub mniejszą, a conajmniej typiczną. Wszystkie te trzy rzeczy wywołane przez rozum tworzą właściwe zimne piękno. Odstąpienie od jednego z tych trzech warunków było błędem, którego by się Grecy nie byli dopuścili. I stanowiąc o pięknie dzieł natury tych samych trzymali się zasad, tylko że tu wzgląd na techniczne wykonanie sam przez się odpadał. Aby zimno piękna rozumowego rozegrzać, pobudzali uczucia rozmaite dziełami swemi, a więc grozę, wdzięk, współczucie, litość, podziw dla ludzkiej cnoty i poczucie własnej wyższości. Wszystkie uczucia owe, podobnie jak i rozumowe piękno, wzmagały i potęgowały u widza poczucie własnej wartości. To tedy nazywało się u Greków pięknem, co widza rozumowo albo uczuciowo podwyższało. To podwyższanie i potęgowanie odbywało się w dwojaki sposób. Raz łączyło silniejszem lub słabszem współczuciem z innemi istotami, i tem potęgowało i mnożyło byt jednostki udziałem w bycie innych istot, drugi raz wzmagało jednostkę poznaniem. Przypatrzywszy się jednak bliżej rzeczy dostrzeżemy, że i poznawanie jest przenikaniem obcego bytu. A może i ideał dla tego tak silnie przyciąga, bo jest sumą i treścią mnóstwa jednostek, bo przeniknięcie ideału wydaje nam się przeniknięciem wszystkich owych jednostek. Otóż tę dążność do poznania, tę dążność do zlania się z ideałem, nazwał Platon miłością. Można by tedy drugi raz powiedzieć, że Grecy pięknem to zwali, co platoniczną miłość u widza rodziło.

Ta druga definicja jest jednak mniej wyczerpującą, bo żywioł komiczny takiej miłości nie budzi. A jednak przedmiot komiczny tylko wtedy jest pięknym, gdy inne estetyczne posiada warunki. (Dok. nast.)

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(Dokończenie.)

Zanim wyjdziemy z grobów królewskich, proszę cię Czytelniku, zwróć jeszcze uwagę na starą romańską rzeźbę, odkrytą zeszłego roku przez p. T. Żebrawskiego w czasie restaurowania onych katakumb a wmurowana obecnie w południowo-wschodnim narożniku krypty wawelskiej, gdzie Sobieski i Kościuszko spoczęli. Jest to część kamiennego węgaru i ocapu, na którym znajduje się w grubych rysach rzeźba potworu o dwóch łapach, ze skrzydłami i zakręconym ogonem przewiązanym przy końcu obrączką i zakończonem w trzy zwoje łatki listkowate. Mamy zatem okaz najwcześniejszej rzeźby polskiej, bo z początku XI stulecia, która nie zalecając się miękością kształtów, odznacza się za to prawdziwie artystyczną potoczystością linij. Potwory wszelkiego rodzaju, bajeczne zwierzęta były najulubieńszym tematem dla rzeźby romańskiej, która unikając ludzkich kształtów z obawy naśladowania klasycznego a pogańskiego świata, symbolizowała myśli swoje w fantastycznych utworach. Pomimo, że czasy XV wieku stanowią niejako zawiązek rzeźby, przecież nasz potwór odznacza się iście artystycznych proporcyj kształtami, przez co zabytek ów przedstawia nader cenny pomnik sztuki polskiej z epoki jej zawiązku.

Z pomiędzy wielkiej liczby zabytków zgromadzonych w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, o których wzmiankowaliśmy już dawniej na innem miejscu w artykule pt. „Album Archeologa,“ notujemy parę nowych wykopalisk z Pomorza baltyckiego, Wielkopolski, Litwy i kongresowego Królestwa. Więc Pomorze, a właściwie wieś Oksew wystąpiły tutaj z okazami charakterystycznej bardzo, przedhistorycznej ceramiki grobowej, którą zdobył na miejscu prof. Łepkowski w czasie naukowej wycieczki odbytej w 1873 r. Są to ułamki popielnic zdobione bogato perełkowemi i falistemi linjami wyciskanemi za świeża. Podczas gdy tego rodzaju wykopaliska najczęściej zdobią się jedną lub dwiema jednostajnemi obwódkami, albo grupą takichże linij kombinowanych pod kątem na sposób przeróżny, tutaj ornamentyka zasadza się najwięcej na przerywanych, perełkowych szlakach lub falistych linjach obiegających naczynie gzygzakowatą obwódką. Rozpatrując się też w charakterze owych zdobień, musimy im przyznać wyraźne i wcale wdzięczne dążenie do znamion piękna. Żywa kombinacja i bogactwo linij najlepszem są tego świadectwem. Podobnie wdzięcznego zdobienia ceramiki, mamy tutaj kilkanaście okazów z palafitu (mieszkania nawodne) Czeszewskiego i ze wsi Pawłowice pod Poznaniem.

Porównywując zaś ową ornamentykę ze zdobieniami popielnic z cmentarzyska w Dobieszewku, Manieczkach, Nadziejowie i wielu innych licznie reprezentowanych w zbiorach gabinetu, musimy przyznać, że człowiek co je wykonywał, stał już na wcale wysokim stopniu umysłowego rozwoju. Linja potoczystego charakteru jasno przemawia za takiem twierdzeniem.

Ale już najciekawszym okazem glinianych wykopalisk jest tutaj kopja nakrywy popielnicy znalezionej pod Malborgiem. Nakrywa ta kształtem zbliżona do ostrokręgu; wyobraża twarz ludzką z pięknym wcale długim nosem. Gdyby nam chodziło o odgadnięcie w owej twarzy plemiennego typu, bylibyśmy w niemałym kłopocie z tego powodu, pomimo nawet, iż jeden z warszawskich archeologów potrafił pono z takich okazów odgadywać imiona historyczne pogańskiej przeszłości... Szczęśliwy, a możeby on powiedział także z pewnością, kogo przedstawiają i owe dwa kamienne bałwanki z pod Koła w Kaliskiem, wyobrażające dwie postacie ludzkie nader niedołężnych zarysów, być może, my tymczasem odsyłamy ciekawego czytelnika do *Trudow perwawo archeologiczeskawo moskowskawo zjezda*, poważnej bardzo pracy, publikowanej przez hr. Uwarowa, gdzie one bałwanki w poczet tak zwanych b a b zostały zaliczone.

W oddziele znowu bronzowych wykopalisk zasługuje na szczególną uwagę perełkowo zdobione naczynie z nakrywą w rodzaju mocno spłaszczonego dzbaniska z uszkiem, lub wazki, znalezione w Rzeżuszni razem z wieloma przedmiotami stroju przedhistorycznego człowieka. Jest to zabytek prawdziwie artystycznego napięcia tak pod względem formy jak i zdobień gustownych, to też i tego rodzaju wykopaliska halsztadzkie nie przewyższają go wcale. Kiedy już mowa o ciekawych spiżach pogańskich, nie możemy przemilczyć długiej, bo nieledwo na $^2/_3$ stopy bronzowej szpili, znalezionej w bogatem cmentarzysku w Kujawkach w Wielkopolsce. Sam kształt tego sprzętu, nader suto zdobnego nacinanemi linjami, dostatecznie objaśnia jego utylitarne przeznaczenie. Więc i przedhistoryczne kobiety różne ozdoby nosiły we włosach, czyśmy daleko od nich odbiegli w tym względzie? Zdaje się, że nie, bo oto zamiast bogatych kolij noszonych przez nasze panie, widzimy tu bronzowy naszyjnik z trójkątnemi blaszkami niby sznurem kolczyków, którym się stroiła jakaś piękność przedhistoryczna z okolic wsi Tajmany na Inflantach. Czy myślicie, że i kolczyków nie używały pogańskie nasze prababki? gdzie tam! i one znały ów sposób podnoszenia wdzięków, czego mamy niezbity dowód na resztkach popielnicy twarzowej z pod Gdańska, gdzie widzimy po parę nawet kółek bronzowych zatkniętych w obydwoje uszu.

Na zakończenie naszych notatek, przejdźmy jeszcze łaskawy Czytelniku do zbiorów archeologicznych Akademji umiejętności. Żebyś się jednak nie nudził zbytecznie oglądaniem ładnego zasobu kamiennych i bronzowych wykopalisk, wzrastających niemal z dniem każdym, popatrz się nieco na posąg Światowida, boga bogów naszego pogaństwa, rzuć okiem na piękną bronzową koronę, bardzo rzadki okaz tego rodzaju, podumaj nad temi zabytkami, a potem, potem ku rozweseleniu umysłu rozczytuj się pilnie w szczątkach nawodnego mieszkania, co się pono długo w kwaczalskich błotach chowały, zanim je p. Kirkor ztamtąd wydobył i uczonemu światu okazał.

Patrzaj, oto masz przed sobą: korę brzozową białą jeszcze, a w przełomie żółtą, znacznie nadbutwiałe laskowe orzechy, dosyć zdrowe ziarna jakowejś rośliny, brunatne spróchniałe sęki, co kiedyś stanowiły podwaliny nawodnych mieszkań, ładną gromadkę węgli, powstałych ze spalonego drzewa; są tu i skorupy z potłuczonych naczyń glinianych, ba, nawet widzisz i orzech brunatny i twardy, co nie zdołał jeszcze zgnić w błotach kwaczalskich. Wszystko to razem wzięte przedstawia ostatki mieszkań nawodnych pradziadów dzisiejszej Kwaczały, co tam przed paru tysiącami lat błogi swój żywot spędzali. Może ty łaskawco nie wierzysz w tę niezbitą prawdę, że

w kwaczalskich błotach jest i było mieszkanie nawodne; byłoby to objawem niegrzeczności z twej strony, więc lepiej wierz w tej sprawie, i ja będę z tobą wierzył, wynalazcy palafitów kwaczalskich, które lud złośliwy resztkami starego mostu lub młyniska mianuje...

Fr. K. Martynowski.

Jeżeli kochasz!

Jeżeli kochasz — niechaj twoje oczy
W moje się patrzą namiętnie i długo;
Jeżeli kochasz — niechaj moją szyję
Śnieżne twe ramię z ufnością otoczy;
Niech twoje serce przy mem sercu bije;
Niechaj dłoń moja dłoń płonącą drugą
W uścisku trzyma namiętnie i długo...
Jeżeli kochasz!

Jeżeli kochasz — noś głowę wysoko,
Z dumną uśmiechów szyderskich pogardą!
Jeżeli kochasz — miejże miłość hardą.
Wulkanu lawy nie skrywaj powłoką!
Jeżeli kochasz, — mą rywalkę — Trwogę,
Wypędź od siebie, lub ukryj głęboko;
Dumnie, samotni, idźmy w życia drogę,
Jeżeli kochasz!

Jeżeli kochasz, — to w tej Kajfaszowej
Kuchni, nazwanej Opinją a Światem,
Mnie się nie zaprzej lękliwemi słowy!
Jeżeli kochasz — to mnie nie zwij... bratem!
Bom ja się zwierzył drzewom, które gwarzą,
Kwiatom, co głośno w noc czerwcową marzą,
Drzewa i kwiaty zdradzą cię! oskarżą!
A więc lękliwa ty mnie nie zwij... bratem,
Jeżeli kochasz!

Lecz jeśli kochasz!... Z ludźmi czy przed Bogiem,
Wśród syku oszczerstw, w pośród zgrzytu złości,
Sercem przed druhem, a czołem przed wrogiem,
Śmiej nosić jasny djadem mej miłości!
A kiedy pieśni mych rzesza wesoła,
Jak rój służebnic, z białych szat szelestem,
Dźwięcznemi usty imię twoje woła,
Kochanko moja odkrzyknij się: „Jestem!“
Jeżeli kochasz!

O! jeśli kochasz! niechaj tam w oddali
Żmiją błyskawic niebo się zapali!
Niech grzmią pioruny! niechaj wrogów tłumy,
Miłości naszej zawistne i dumy,
Przyjdą zdruzgotać nas w zacnym zapędzie!
. . . .
Luba! Ta czerń nas żywych mieć nie będzie!
Jeżeli kochasz!...

Władysław Ordon.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Donna Marja robi wrażenie.

Rancho „Pod błogosławionym rybakiem“ leżało, jak przystoi na jego nazwę, w stronie morza. Jeżeli założyciel jego przy wybraniu miejsca powodował się uczuciem religijnem, to urocza wdowa niezaprzeczenie okazała również praktyczny zmysł w rozumnem zużytkowaniu rozmaitych przez założyciela uwzględnionych zalet miejscowości, dla jej upiększenia. Niski czworokątny ceglany dom mieszkalny, dzięki rozmaitym niewieścim dodatkom i ozdobom, pod wielu względami utracił swą skromną, do praktycznych tylko celów zastosowaną powierzchowność. Czerwony dach spuszczony został ku dołowi dla utworzenia szerokiej werandy, opartej na słupach, winogradem obsadznnych, a cichy korytarz, wbrew zwyczajowi hiszpańskiemu, został z wnętrza domu na zewnątrz przeniesiony. Wewnętrzny dziedziniec znikł. Ponurej i ciężkiej meksykańskiej architekturze nadały pewną lekkość francuskie jasne obicia i koronkowe firanki. Szeroka weranda napełnioną została niedawno wprowadzonemi w użycie chińskiemi bambusowemi krzesłami i ławkami, a pstra wenecka markiza łagodziła światło od strony morza.

Niemniej jednak donna Marja, uwzględniając panujące w miasteczku zdanie, iż podobne zmiany są niewłaściwe, jeżeli nie są nawet symbolicznem zachwianiem wdowiego stanu, mocno trzymała się wielu miejscowych zwyczajów. Wprawdzie po jednej stronie jej gościnnego pokoju stał fortepjan, ale w kącie znajdowała się także harfa. Jeżeli nowy, zaledwie porozcinany romans był rozłożony na fortepjanie, to na marmurowym stole na środku pokoju książka do nabożeństwa wpadała w oczy; jeżeli na kominku piękny zegar z bronzową pasterką oznajmiał o przebiegu czasu, to żelazny krzyż na ścianie przypominał o wieczności.

Tego poranku pani Sepolvida oczekiwała gościa u siebie. Leżała ona w macie z manilskich konopi, rozwieszonej między dwoma słupami werandy, z twarzą na pół ukrytą za siatką, podczas gdy z drugiego końca maty wyglądał maleńki trzewiczek. Nie w takiem położeniu zamyślała donna Marja przyjmować swego gościa; owszem wydała ona służącym rozkaz aby jak tylko obcy *Caballero* ukaże się na ulicy, natychmiast dano jej znać. Gdyż ze smutkiem muszę tu wyznać, iż daleka od usłuchania rady Artura, by zachować w tajemnicy przygodę swą w Point of Pines, niektóre jej szczegóły opowiedziała własnemi ustami większej części swych przyjaciółek, a nawet służby domowej. Kobieta, dopóki zajęcie się jej jakimkolwiek mężczyzną znajduje się w pierwszem stadium rozwoju, nadzwyczaj jest usposobiona do zwierzeń; dopiero gdy pozna poważniejszą stonę stosunku, poczyna ukrywać się przed światem. Na drugi dzień po swej przygodzie, donna Marja najniewinniej zwracała myśli ku swemu bohaterowi, wywnętrzając się w wesołych, nieoględnych żartach.

Zapomniałem czym ją już opisał; ale z pewnością nie znajdę lepszej do tego sposobności. W rozwieszonej macie donna Marja wydawała się niewielkiego wzrostu, jak to się zawsze zdarza kobietom, gdy te ukazują się w ograniczonych ramach. Miała poddostatkiem ciemnych włosów; wszakże przyzwyczaiwszy się przyczesywać je gładko na skroniach, co pochodziło jeszcze z czasów, gdy była na pensji i liczyła wszystkiego piętnaście lat, i teraz nie zbyt starannie je pielęgnowała. Miała łagodne ciemne oczy, z lekko zarumienionemi powiekami, co zgadzało się z jej wdowieństwem i zarazem wcale jej nie szpeciło;— miała drobne usta z ostro wyciętemi kątami, białe regularne zęby i twarz całą wyraźnie odbijającą wszelkie wrażenia cielesne i umysłowe. Zdawała się liczyć około trzydziestu lat i miała ów wyraz „małżonki“, którym najprzyjemniejsi z nas i najwzględniejsi cechują kobiety wybrane za najbliższe towarzyszki kłopotów naszych i zabiegów przez długie lata. Jedynym śladem, jaki nieboszczyk Sepulvida na żonie swojej pozostawił — ale śladem wyraźnym, jak cechy na jego stadzie— była pewna ostra linia od boków nosa ku kątom ust idąca i powiększająca impertynencki ich wyraz. Świadczyła ona o zamiłowaniu nieboszczyka w polowaniach na niedźwiedzi i walkach byków, a może także o słabości jego do pewnej senory X. z San Francisco, nie cieszącej się zbyt wielką reputacją, a której nie poprawiła ani odległość leżąca między nią a San Antonio, ani szpiegowania donny Marji.

Gdy w godzinę potem „Pepe“ stanęła przed swą panią i wręczyła jej kartkę z wizytowym biletem Artura Poinsett i formalną prożbą o rozmówienie się, donna Marja była nieco rozczarowana. Gdyby ukazał się nagle, wskoczywszy na werandę z ominięciem służby, to dałoby się prędzej zgodzić z jego charakterem jako bohatera, i z obecnym nastrojeniem i kierunkiem jej marzeń. Tymczasem teraz, wydawszy słabe westchienie zniecierpliwienia i kazawszy „Pepe“ by wprowadziła gentlemana do sali, ześliznęła się zręcznie z maty na ziemię i pobiegła do swej garderoby.

— Nie mógł zachować większych formalności, nawet gdyby żył jeszcze don Jose, powiedziała sama do siebie podchodząc ku zwierciadłu.

Artur Poinsett wszedł do próżnej sali w nienajlepszem ze swych usposobień. W oczach bezczynnie stojących vaqueros i w ukradkowych spojrzeniach kobiecej służby, wyczytał on, że przygody jego całemu domowi są wiadome. Przywykły do tego, że znane mu kobiety pieściły go i pochlebstwami obsypywały, czuł się mniej więcej usposobionym do przypuszczenia, że to powierzenie prawnych interesów jego klinetki w ręce pani Sepulvida jest wynikiem planów ojca Felipe. Obrażony nieco i nieprzyjemnie dotknięty wspomnieniem rady udzielanej przez ojca Felipe, Artur postanowił ograniczyć rozmowę ściśle do obecnego interesu, — i obawiam się, że postępując w ten sposób, może zapomniałby na chwilę o wrodzonej sobie grzeczności. Nie przyczyniło się do zmniejszenia jego niezadowolenia i złagodzenia samolubnego uczucia to, że do sali wchodząca pani Sepulvida nie okazała w swem zupełnie niewymuszonem zachowaniu się najmniejszego zdziwienia, a tylko według przyjętego hiszpańskiego zwyczaju zapytała go o zdrowie, od czasu ostatniego spotkania się, lecz bez najmniejszego napomknienia na swój wypadek — i prosiła by usiadł. Sama usiadła na krześle po drugiej stronie stołu i przybrała wyraz pełnej uwzględnienia, ale nieco znużonej uwagi.

— Sądzę, rzekł Artur, natychmiast zwracając rozmowę na przedmiot sprawy, ażeby pozbyć się pomięszania i powstającego w nim lekkiego uczucia niechęci — sądzę, a przynajmniej jestem uprawniony do sądzenia, że pani, obok własnych swych spraw, ma sobie powierzone rozmaite dokumenta i fakta dotyczące udziału donny Dolores Salvatierry. Więc od czego naprzód zaczniemy? W najbliższych dwóch godzinach jestem najzupełniej na rozkazy pani; ale prędzej i łatwiej rzecz poprowadzimy, gdy będziemy załatwiać jeden punkt po drugim.

— W takim razie pozwól pan, że zaczniemy od donny Dolores, rzekła donna Marja. Własna moja sprawa może zaczekać... W samej zaś rzeczy — dodała obojętnie — przyznam się panu, że każdy z waszych pisarzy mógłby tak samo załatwić to, jak i pan. Jeżeli czas panu tak drogi, co bardzo być może, to mogę panu wręczyć do-

kumenta i zaoszczędzić mu słuchania mojej głupiej i niewłaściwej gadaniny. Pisarz może wyciągnąć ważniejsze punkta, i przedstawić je panu; jestem w interesach dzieckiem nieświadomem.

Artur uśmiechnął i zrobił ręką lekki ruch przeczący. Pomimo z góry powziętego postanowienia, spodobał mu się nieco uszczypliwy ton donny Marji. Jednak z wyrachowaną powagą otworzył swą książkę notat i nie mówiąc więcej ani słowa, wziął do rąk ołówek. Donna Marja zauważyła te poruszenia i spoważniawszy rzekła:

— Ach jakże jestem szalona! Mówię o swoich własnych sprawach, kiedy właśnie powinnabym mówić o sprawach donny Dolores. A więc, ażeby zacząć, pozwól pan naprzód objaśnić dlaczego donna Dolores sprawę tę w moje ręce złożyła. Mój mąż i jej ojciec byli przyjaciołmi i mieli wiele interesów wspólnych. Jak pan bez wątpienia słyszałeś, donna Dolores oddawna już żyjąc samotnie i w odosobnieniu, stała się bardzo religijną, prawie zakonnicą. Powinnam także powiedzieć, że do tego spowodowało ją delikatne jej położenie, gdyż pan wiesz, a może nie? że matka jej była Indjanką. Nie więcej jak parę lat temu, stary gubernator, który w owym czasie owdowiał i nie miał własnych dzieci, zajął się tem indyjskiem dziecięciem. Matki nie znalazł przy życiu, a dziewczynę odszukał w jakiejś odległej misji, jako służącą. Zabrał ją do San Antonio, kazał ochrzcić i wychować w religji chrześciańskiej, potem adoptował i zrobił prawną swoją sukcesorką. Przed czternastu albo szesnastu laty było to sworzenie niepozorne. Mogła mieć piękną cerę, gdyż często takie kobiety pół krwi, bywają prawie białe; ale według dzikiego zwyczaju jej rasy, gdy była jeszcze dzieckiem, obmywano ją jakimś barbarzyńkim szkaradnym odwarem. Teraz ma cerę jasno miedzianą, mniej więcej podobną do tej brązowej pasterki, stojącej na kominku. Pomimo to ja nazwałabym ją piękną. Być może dla tego, że lubię ją, więc jestem uprzedzona. Ale wy, panowie, jesteście tak wybredni co do cery, więc nie ma czemu dziwić się, że biedne dziecię nie chce nikogo widzieć, i zupełnie w towarzystwach nie bywa. Doprawdy, że to szkoda!... Ale przebacz mi, panie Poinsett, plotę mu o tem jak wygląda jego klientka, podczas gdy powinnabym przedstawić jej sprawę.

— Nie! nie! rzekł Artur pospiesznie, niech pani mówi dalej jak zaczęła.

Pani Sepulvida, podniosła żartobliwie do góry wskazujący swój palec i zawołała:

— A! a! tak się rzeczy mają, don Arturo? Coś podobnego przychodziło mi na myśl! No, to w samej rzeczy szkoda, szkoda że jej tu nie ma, abyś pan osobiście mógł sądzić.

Zagniewany sam na siebie za swe pomięszanie i rumieniec na twarz mu występujący, Artur puściłby się w wyjaśnienia; ale dama nie dopuściła go do tego.

— A więc idąc dalej, rzekła, po części dla tego, że ja nie chwalę i nie podzielam uprzedzedzenia, z jakiem stare rodziny trzymają się swej rasy i cery, a może poczęści także i dlatego, że my obie byłyśmy tu obcemi, zostałyśmy przyjaciółkami. Zpoczątku trwożliwie usuwała się ona przedemną, sądzę nawet, że obawiała się mnie więcej, aniżeli innych; ale z czasem zatryumfowałam i szczerze, bardzo szczerze, poprzyjaźniłyśmy się. Zostałyśmy przyjaciółkami, pojmujesz pan, panie Poinsett, ale nie powiernicami. Wiem, że wy, mężczyźni, poczytujecie to za niemożebne; ale donna Dolores jestto istota całkiem oryginalna i ja nigdy, wyjąwszy rzeczy najpowszedniejszej natury, nie mogłam nic z niej wydobyć. A być może, że tylko ja jedna posiadam całą jej przyjaźń.

— Z wyjątkiem ojca Felipe, jej spowiednika.

Pani Sepulvida ruszyla ramionami, a potem posłużyła się skeptycznym frazesem:

— *Qien sabe?* (Kto wie?) Ale znowu odbiegam od mego założenia. Teraz do rzeczy.

Wstała, wyjęła z jednej szuflady w biórku kopertę, a z niej papiery, rozłożyła je i wskazując na niektóre miejsca, mówiła dalej:

— Zdaje się, że znowu wynaleziono jednę koncesję gruntu Micheltorreny dla Salvatierra w Monterey, koncesję, na którą między papierami Salwatierry nie znajduje się żaden dokument. Z dochodzenia wiadomo, że jeden oryginał koncesji dany był przed pięciu laty niejakiemu Don Pedro Ruiz z San Francisco jako kopja dzierżawna. Ten widocznie jest legalny i po formie ułożony. Don Pedro pisał, że żyje jeszcze kilku świadków, którzy rzecz tą dobrze sobie przypominają.

— Dlaczegoż nie przedsięwzięto formalnego zatwierdzenia?

— Bardzo słusznie. Ale gdyby tak było, to don Arturo nie byłby zawezwany z San-Francisco na naradę. Rzecz ma się zupełnie inaczej. Don Pedro pisze, że znaleziono jeszcze drugi oryginał koncesji na tęż samą część gruntu, wystawioną na inne nazwisko.

— Przykro mi, iż muszę powiedzieć, że nie rzadki to jest wypadek w naszej praktyce sądowej, rzekł Artur z uśmiechem. Ale znane dobrze imię Salvatierry i prawość jego, według wszelkiego prawdopodobieństwa wystarczyłyby do przeważenia jednobrzmiącego dokumentalnego dowodu stronnictwa przeciwnego. Źle się nadarza, że don Salvatierra już nie żyje, i że przyzwolenie znaleziono po jego śmierci.

— Ale i posiadacz drugiej koncesji również nie żyje! — rzekła wdowa.

— To znowu rzecz wyrównywa. A kto on jest?

Pani Sepulvida znowu zajrzała w papiery leżące przed nią i rzekła:

— Doktor Devarges.

— Kto?

— Devarges, rzekła pani Sepulvida, raz jeszcze zajrzawszy w notaty. Szczególne nazwisko... zapewne cudzoziemiec... O, nie, panie Poinsett, nie pierwej pan zobaczysz moje notaty, aż dopóki ich nie odpiszę; to szkaradnie pisane. Pan nie zdołasz tego wyczytać! Doprawdy, że wstydzę się mego gryzmolenia; ale tak mi było spieszno, ponieważ lada chwila spodziewałam się pana!... Ale, cóżto, panie Poinsett? jakie pan masz zimne ręce!

Artur Poinsett bowiem zerwał się szybko i prawie niegrzecznie pochwycił za papier, który trzymała. Ale wdowa z kokieterją i żartobliwie wytężając swe siły, oparła się temu, pochwyciła go za rękę — i puściła.

— I tak pan pobladłeś! dodała Boże mój! obawiam się, czyś pan się nie przeziębił owego poranku. Całe życie nie przebaczyłabym sobie tego. Oczy wypłakałabym!...

I donna Marja z pod swych długich rzęs rzuciła na niego wzrok niebezpieczny; przyczem oczy jej wyglądały jak gdyby miał z nich spaść cały potop łez.

— Nic to, nic! Dziś rano długo jeździłem i wstałem bardzo wcześnie, odrzekł Artur błędnie uśmiechając się i zacierając sobie ręce. Ale przerwałem pani. Proszę! niech pani mówi dalej! Czy doktor Devarges pozostawił jakich spadkobierców, którzyby mogli zaprzeczyć koncesyi!

Wdowa jednak nie zdawała się być usposobioną do dalszego opowiadania. Wiedziała z pewnością, że Artur wypiłby szklankę wina. Czyż nie zgodzi się na to, by przekąsił cośkolwiek nim znowu wda się w tę ciężką sprawę? Czuła się zmęczoną. Była tego przekonania,że i Artur musiał być znużony.

— Takie jest moje powołanie, rzekł Artur nieco za oziębłe; ale ponieważ znowu uczuł się zakłopotanym, uśmiechnął się i dodał, że im prędzej zostaną załatwione kwestje interesów dotyczące, tem prędzej znajdzie się w możności korzystania z jej gościnności.

Oczy wdowy rozjaśniły się.

— Nie możemy odszukać żadnych spadkobierców, powiedziała; ale jest... jakby to powiedzieć... jest ktoś... ktoś inny... teraz w posiadaniu...

— *Squatter?* *) zapytał Artur krótko.

— Tak jest, ciągnęła dalej wdowa z lekkim uśmiechem. *Squatter*, nazwiskiem... ach! te moje notaty tak są nieznośne!... pozwólno pan, niech się dobrze rozpatrzę... tak, tak!... nazwiskiem Gabryel Conroy.

Artur mimowolnie sięgnął ręką do papieru, ale wdowa swawolnie odskoczyła ku oknu i tam stanęła, nie dostrzegłszy, na szczęście, straszliwej bladości, która zaległa twarz Artura. Trzymając papier przed swemi figlarnie uśmiechającemi się oczyma, powtórzyła:

— Gabryel Conroy, i... i... jego...

— Jego siostra? wybełkotał z trudnością Artur.

— Nie, panie, odrzekła pani Sepulvida, z małym grymasem — jego żona. Dlaczegożbo zaraz siostra? Jakgdybyśmy my, kobiety zamężne, dla tego istniały, by być ignorowanemi przez was świadomych prawa gentlemenów.

Artur milczał z twarzą ku morzu zwróconą. Gdy przemówił, głos jego miał już swój dźwięk naturalny.

— Czy mógłbym zmienić teraz moje zdanie co do niedawnej uprzejmej propozycji pani, i prosić ją o szklankę wina i sucharek?

Pani Sepulvida poszła ku drzwiom.

— Pozwól mi pani tymczasem rzucić okiem na jej notatki, powiedział Artur.

— A nie będzie się pan śmiał z mojej bazgraniny?

— Nie.

Donna Marja z uśmiechem rzuciła mu kopertę i szybko wyszła z pokoju. Artur podbiegł ku oknu z papierami. Stały w nich nazwiska, które mu wymieniła — ale nic więcej. Przynajmniej w tem znalazł częściową ulgę.

Więcej nagłość ciosu, aniżeli jakiekolwiek moralne uczucie lub obawa, przeważnie oddziałały na niego. Jak większa część ludzi obdarzonych żywą wyobraźnią, był on w wysokim stopniu przesądnym i jak tylko wymienione zostało po raz pierwszy nazwisko doktora Devarges, przyszły mu na myśl uwagi, jakie ojciec Felipe robił o jego charakterze, jako też smutne marzenia w kaplicy, podrzędna okoliczność, która go do San Antonio sprowadziła i dziwny wypadek, przez który wynalezioną została zapomniana koncesja i on sam wybrany dla jej odzyskania. Gdy to wrażenie przeminęło, powróciły wszelkie za-

*) *Squatter* oznacza w Ameryce tego, kto zajął własnowolnie w posiadanie część ziemi. P. T.

soby jego upartej natury. Rozumie się, że nie mógł popierać tych pretensji; rozumie się, że musiał niedopuścić innych by to uczynili. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, koncesja doktora Devarges była jedynie prawdziwą i Gabryel był w jej posiadaniu! Czy on w samej rzeczy został spadkobiercą doktora Devarges? i z jakich powodów, jeżeli tak było, nie poparł swych pretensyj otwarcie i uczciwie? Gdzie była Gracja?

Przy tem ostatniem pytaniu powstało w nim lekkie sentymentalne wspomnienie, ale nie żaden wyrzut sumienia, ni też wstyd.

Spodziewał się w duchu, że znajdzie sposobność być jej jakkolwiek pożytecznym. Gdy czas starł wszelką romantyczność z pierwszej ich znajomości, ani na chwilę nie wątpił on, że w podobnym trybie postępowania, zawiera się z jego strony wiele szlachetnego i lojalnego. Zaproponowałby układ z piękną swoją klientką, Grację i Gabryela samby wyszukał i ułożył się z nimi — i tym sposobem wszystko przyszłoby do ładu. Nerwowość jego i wrażliwość — o tem był przekonany — były wyraźnie skutkami jego sumienności i delikatnej i szlachetnej natury, zbyt tkliwej wobec wymagań jego powołania, a umysłowo za wysoko go stawiającej. Pod jednym względem był zgodnym z sobą samym, a mianowicie, że powinien należycie zastanowić się nad radą ojca Felipe; powinien sam siebie zabezpieczyć od tych romantycznych napadów.

W takiem usposobieniu, znajdującem w samem sobie wszelką moralną podporę i zadowoleniu, zastała go pani Sepulvida gdy powróciła. Podczas jej nieobecności — tak sam powiedział — najzupełniej wyjaśnił on sobie jaką drogę należy obrać w danym wypadku prawnym; bynajmniej nie wątpił że układ swego planu zawdzięcza po większej części zdumiewającej trafności z jaką ona wyjaśniła rozmaite punkta we wręczonych mu papierach. Teraz oświadczył gotowość zajęcia się własnemi jej sprawami, i prosił tylko o takież jasne i zwięzłe sprawozdanie jakie uczyniła w sprawie swej przyjaciółki. Był tak uprzedzającym i ugrzecznionym, że gdy oznajmiono że śniadanie jest gotowe, wdowa znalazła go bardzo miłym i uczuła się usposobioną do przebaczenia mu porannego rozczarowania. A gdy po śniadaniu zaproponował jej krótką przejażdżkę wzdłuż brzegu i po drodze dla odświeżenia jej pamięci, i poniekąd dla uspokojenia, powiedział, że Point of Pines także może być objechany nie koniecznie brnąc przez wodę, przystała na to nie wziąwszy rozsądnie na uwagę plotkarskiego towarzystwa w San Antonio. Tem że używa przejażdżki z prawnym doradcą nieboszczyka męża swego, który to doradca, jak całemu światu wiadomo, powołany tu był w interesach prawnych i dla którego czas ma wielką cenę, tak iż nawet musi powracać przed załatwieniem pomienionych interesów, nikt nie powinienby się gorszyć. A przytem mogła z niemi jechać „Pepe“ i razem wrócić.

Naturalnie że nie przychodziło na myśl ani Arturowi ani donnie Marji wyprzedzieć Pepe, otyłą i do gwałtownych wytężeń nie stworzoną, albo też szukać materji do rozmowy, gdzie indziej a nie w szczegółach interesów prawnych — ani to że popołudnie było cudnie piękne, co zniewalało do częstych zatrzymywań koni, ażeby podziwiać błyszczące w oddali morze; — albo że szum fal był tak ogłuszający, że ażeby rozmówić się musieli trzymać się jak najbliżej jedno drugiego i gorący oddech wdowy ciągle muskał policzki Artura. Tem mniej mógł kto przypuścić że popręga siodła donny Marji rozpuściła się, że wskutek tego będzie musiała zsiąść z konia, a Artur znajdzie się zmuszonym wziąć ją na ręce, siodło poprawić i napowrót na konia ją wsadzić. — Gdy na koniec zdrowi i cali objechali cypel jodłami porosły, Artur zwrócił ku niej kilka słów pożegnalnych, połączonych z tą i ową radą adwokacką. Przy tem jedną jej rękę trzymał w swojem ręku, a drugą poprawiał długie jej włosy przez wiatr rozwiane, które aż po ustach go muskały, co mu rumieńce na twarz wywołało, a potem nagle same sobą obwinęły się koło szyi.... W tej chwili bystro przelatywała drogą koło nich staroświecka kareta, zaprzężona w cztery białe muły w srebrnych chomątach.

Donna Marja mocno zarumieniona i uśmiechnięta cofnęła swą głowę i rękę i końcem paluszków posłała pocałunek znikającej karecie — Artur również uśmiechnął się, nieco jednak zmięszany, i spojrzał na swoję towarzyszkę jakby czekał wyjaśnienia.

— O, teraz musisz pan należycie skupić swe myśli, rzekła ona, czy wiesz kto tam siedział w powozie?

Artur wyrzekł iż wcale nie wie. Zauważył on powóz dopiero gdy ten już przejechał.

— Pomyśl pan tylko coś utracił! Wszak to była piękna jego klientka!

— Ani przez chwilę nie widziałem jej, rzekł Artur z uśmiechem.

— Ale byłeś przez nią widziany! oczu od pana nie odwróciła! Adios! (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*„Do Ameryki i w Ameryce,“ podróże, szkice obyczajowe i obrazki z życia mieszkańców Ameryki przez Kaliksta Wolskiego. Lwów, 1876.*)

Któż z nas mieszkańców starej Europy choćby raz w życiu nie zamarzył o tem, aby pojechać do Ameryki? Jednych nęciła wrzekoma łatwość zrobienia majątku, innych pobudzała chęć poznania krajów i społeczeństw, równych nam cywilizacją, a przecież tak niepodobnych do naszych. Naturalnie rojenia te miały zwykle tyle substancji praktycznej, ile naprzykład chęć wygrania znacznej sumy na loterji; jedno się z drugiem nawet często łączy w podobnych marzeniach. Ale za to każdą książkę, każde opowiadanie o nowym świecie chwytamy z najżywszą ciekawością: nie mogliśmy go sami widzieć, to popatrzmy nań przynajmniej cudzemi oczami.

Ale jakże rozmaicie w tych książkach opisują Amerykanów i ich życie! Jedni widzą w nich społeczeństwo, stojące o kilka stopni wyżej od europejskiego i mogące służyć we wszystkiem za wzór dla tego ostatniego; inni ostrzegają przed pozorami świetności, pod którymi ukrywa się głęboki upadek moralny. Komu wierzyć? trudne pytanie, tem bardziej, że nie ma powodu posądzać którąkolwiek ze stron piszących o złą wiarę.

Jednę rzecz tylko czytelnik spostrzega, która mu może służyć za wskazówkę przy orjentowaniu się, a to mianowicie, że wszystkie pociski, jakie szczególnie w ostatnich czasach spadły na Amerykę, pochodzą z grona artystów, wziętych w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa. Dickens i Sardou są przedstawicielami tego grona. Podług nich prawie całe społeczeństwo amerykańskie składa się z materjalistów, pyszałków i szalbierzy rozmaitego gatunku; stary świat przy całem swojem zacofaniu jest stokroć lepszy, milszy, uczciwszy od nowego.

Dla czegoż to artyści tak złe powzięli wyobrażenie o Ameryce, podczas gdy ekonomiści i politycy jak Tocqueville i Laboulaye tak ją wynoszą i za wzór stawią Europie? Zdaje się, że można na to odpowiedzieć. Ameryka prawie we wszystkiem już prześcigła Europę, z wyjątkiem jednej dziedziny: sztuki. Amerykanie nie mają nawet zmysłu dla niej, co się da także łatwo objaśnić. Już pierwsi koloniści, purytanie, byli zaciętymi nieprzyjaciołmi Baala, to jest wszelkiej poezji, która nie była psalmem, i w ogóle wszelkiej sztuki, która podług nich była tylko zmysłową uciechą. Późniejsi przybysze, których nędza materjalna wypychała z kraju, szukali tylko chleba, fortuny i swobody. Znajdowali to wszystko, a zajęci gorączkową pracą około mnożenia fortuny, pracą, która stała się w nich nałogiem, nie mieli czasu zatęsknić do owych czystych i szlachetnych rozkoszy, jakie daje sztuka. Młode pokolenie wyrastało nic już nie wiedząc o sztuce; obijały się o jego uszy tylko takie hasła jak: praca, energja, dobrobyt, wygoda, swoboda. Ale po za tem nic dla młodzieży nie istniało; potrzeb estetycznych nikt w niej nie rozwijał. Nic więc dziwnego, że wyrósł naród swobodny, silny, śmiały, dokazujący cudów na polu praktycznem, godny podziwu i naśladowania pod wielu względami, ale pomimo to wszystko rażący brakiem owego uszlachetnienia, jakie daje sztuka, sztuka prawdziwa, która nie jest tylko składem form pięknych, ale i pięknej treści. Na najkrótszą nawet kontemplację, bez której przecież sztuka istnieć nie może, nie ma on czasu, bo *time is money*, a za *money* można mieć wszystko co się podoba.

Łatwo więc pojąć teraz, skąd pochodzi tak wielka różnica w sądach o Ameryce; wszystko tu zależy od punktu widzenia. Artyści patrzali tylko na wewnętrzne uszlachetnienie jednostki, ekonomiści na energję produkcyjną społeczeństwa i instytucje polityczne.

Pan Wolski w zapatrywaniach swoich na Amerykę, którą przez kilkoletni w niej pobyt mógł dobrze poznać, zbliża się do drugiego punktu widzenia, ale jest przytem bardzo bezstronny i nie tai wcale wad amerykańskiego społeczeństwa, jak tylko zdarzy mu się sposobność mówić o nich. Na dowód wskazujemy rozdziały pod tytułem: Dziwny skutek towarzystw wstrzemięźliwości“ i „Wybory w Ameryce,“ a nareszcie różne drobne ustępy rozrzucone po całem dziele.

Książka pana Wolskiego, pomimo iż nie błyszczy stylem, pomimo iż język w niej czasem bardzo a bardzo zaniedbany, czyta się z nadzwyczajną przyjemnością i zajęciem. Naprzód spokojny, trzeźwy ton opowiadania upewnia nas, że mamy do czynienia z sumiennym sprawozdawcą, który dla zaokrąglenia rzeczywistości nie będzie jej sztukował fantazją. Powtóre autor ma szczególny dar trafiania w myśl wykształconemu czytelnikowi, to jest dar odgadywania pytań, jakie się budzą w tym ostatnim, w miarę opowiadania. Sprawia to nadzwyczajną przyjemność czytelnikowi, gdy każde nasuwające mu się na myśl pytanie widzi zaraz rozwiązanem. Tym sposobem książka staje się niejako rozmową pomiędzy czytelnikiem a autorem, rozmową, w której naturalnie pierwszemu z nich przypada rola pytającego.

Weźmy przykład. Autor opowiada, jak zwie

dział latarnię morską, zbudowaną na pełnem morzu w zatoce meksykańskiej, niedaleko od Galvestonu. Ileż to razy czytaliśmy opisy takich latarni, lub widzieliśmy je w rycinie, albo i w rzeczywistości, a nigdy nikt nam nie odpowiedział na pytanie, które się zaraz nastręczało: jak w tej samotnej wieży, odgrodzonej od świata przepaściami morskiemi, żyje człowiek, którego zadaniem zapalać i podtrzymywać ogień, jedyne przewodnie światełko dla żeglarzy w noc ciemną? Jak on zdoła sobie uprzyjemnić, szczególnie gdy jest sam, to dobrowolne więzienie, o tyle gorsze od zwyczajnego, że nawet twarz dozorcy więziennego nie rozerwie wiecznej samotności? Pan Wolski odgaduje nasze pytanie i odpowiada nam:

„Wypytywaliśmy się (stróża), czy się nie nudzi, jak swój czas przepędza i takie odosobnione życie, czy mu się nie przykrzy?“

— Równo ze świtem — odpowiedział—wchodzę na górę gasić światło w latarni, bo mam w tem interes własny. Oleju bowiem sam dostarczam i za tę dostawę pobieram wyznaczoną na miesiąc kwotę. Im mniej się go wypali, tem więcej zyskuję; potem przyrządzam śniadanie, po śniadaniu jeżeli morze nie bardzo dokazuje, jadę łódką do lądu, gdzie jem obiad i bawię do godziny trzeciej lub czwartej. Za powrotem przyrządzam latarnię na noc, a skończywszy tę robotę, która mi parę godzin zajmuje, czytam przyniesione z sobą dzienniki (*New-papers*) aż do wieczora. Jak się zmierzchać zaczyna, zapalam latarnię i idę spać, a tak czas przechodzi.“

W kilku słowach mamy opowiedziany ten wyjątkowy tryb życia, który nasza fantazja nadaremnie siliła się nieraz odgadnąć.

Ale nadewszystko zajmującą staje się książka p. Wolskiego z tego powodu, że nie jest ona tylko spisem wrażeń zwyczajnego turysty, ale zawiera w sobie zarazem historję usiłowań ludzi szlachetnych a niepraktycznych, pragnących w Nowym świecie urzeczywistnić teorje, które wyrosły na zoranej społecznemi rewolucjami ziemi francuskiej. Po coup d'etat dokonanym przez Napoleona III, wielu republikanów i socjalistów musiało opuścić Francję. Postanowili oni żywiołami francuskimi, belgijskimi i szwajcarskimi kolonizować południowo-zachodnią część Stanów Zjednoczonych, a mianowicie Texas, i utworzyć tam stowarzyszenie rolnicze według systemu Fouriera.

Główny twórca tego projektu, Considérant, znając p. Wolskiego, wezwał go do pomocy. Pan Wolski był już wtedy w Ameryce i dobrze poznał język angielski, mógł więc jako tłómacz i pośrednik wielkie oddać przysługi przybywającym kolonistom. Udał się on z nimi przez dziewicze lasy teksańskie na miejsce przyszłej kolonji i tu był świadkiem jak najlepsze chęci, najszlachetniejsze zamiary rozbiły się o brak doświadczenia, o nieznajomość miejscowych warunków. Podobne stowarzyszenia rolnicze w Stanach północnych istniały już i kwitły od lat dziesięciu; mianowicie North America Phalanx wzbudzała zachwyt we wszystkich, którzy ją zwiedzali. Tymczasem kolonia w Texas istniała tylko pół roku. Krótka jej historja jest bardzo smutną, ale też i bardzo pouczającą. Uwydatnia ona zarazem doskonale różnicę pomiędzy charakterem Anglików, kolonizatorów par excellence, a Francuzów, którym łatwiej świat cały zdobyć w imię jakiejś idei, jak jeden kraj dobrze skolonizować w imię własnego interesu.

Z innych rozdziałów tej książki musimy jeszcze wymienić rozdział traktujący o przewozie emigrantów do Ameryki, a przy tej sposobności i o handlu porywanymi z brzegów Afryki murzynami. Autor pomiędzy jednem a drugiem upatruje przerażające podobieństwo. „Dante, powiada on, opisując swoje wejście do piekła, kreśli obrazy męczarń, jakie mu bujna i wrząca imaginacja nasuwała i przeraża czytelników okropnością swych pomysłów; ale gdyby ten wielki poeta żył w czasach, kiedy się zaczął handel porywanymi z Afryki Murzynami, lub później handel oszukiwanymi Europejczykami, chcącymi emigrować do Ameryki... i zstąpił nie do piekła już, lecz tylko w między pomosty okrętów przewożących Murzynów z Afryki, a emigrantów z Europy — byłby w rzeczywistości ujrzał na ziemi, a raczej na morzu, męki daleko straszniejsze od tych, jakie wymyślił dla piekielnych potępieńców.“ Pan Wolski opowiada nam o przewożeniu emigrantów to, co sam widział, o przewożeniu Murzynów, to co słyszał od innych, i kreśli dwa obrazy wywołujące litość i zgrozę.

Józef Tretiak.

POGADANKI.

XII.

Publicystyka polska straciła w tych dniach jednego ze swoich najznakomitszych reprezentantów, w osobie śp. Maurycego Manna, redaktora *Czasu*. Na innem miejscu, *Tydzień* poświęci obszerniejsze wspomnienie pracom i zasługom zmarłego pisarza — nim to wszakże nastąpi, spada na mnie obowiązek wyrażenia żalu naszego z powodu tej straty. Śp. Mann należał wprawdzie do obozu konserwatywnego, a w dziennikarstwie, do głównych tego obozu filarów, ubytek wszakże takiego pracownika dotyka boleśnie nietylko ściślejszych jego przyjaciół politycznych. Nie ma zapewne człowieka myślącego, któryby nie był przekonanym o szkodliwości jednostronnego rozwoju myśli i kierunków w każdem społeczeństwie i w każdym narodzie. Z tego przekonania płynie drugie, o potrzebie ścierania się zdań i prądów, o potrzebie istnienia rozmaitych stronnictw. Należy tylko życzyć sobie, ażeby każde stronnictwo posiadało rzeczników działających w dobrej wierze, miłujących sprawę ojczystą po nad wszystko, i służących jej z zasobem wznoszącego się nad powszedniość talentu i głębokiej wiedzy. Takiego męża straciło stronnictwo konserwatywne polskie w tym, którego zgon opłakujemy. Oby nasz, postępowy obóz, miał zawsze i przeciwników i zwolenników takich, o którychby po ich śmierci powiedzieć można to samo, co o śp. Maurycym Mannie!

* * *

W umysłach znowu niezwykła panuje gorączka, z powodu zajść i wypadków, które na szczęście nie wchodzą w program *Tygodnia*. Powiadam: na szczęście, bo w istocie nie ma losu mniej godnego zazdrości, od losu takiego codziennego proroka politycznego, którego przepowiedniom złośliwy telegraf nie mniej codziennie kłam zadaje, na to, ażeby nazajutrz zadać znowu kłam sobie samemu. Ciekawe przy tem wszystkiem nasuwa się spostrzeżenie. Oto zdawałoby się na oko, że łatwiej jest czytać, niż pisać dzienniki. Tymczasem, z pomiędzy niewielkiej stosunkowo liczby takich, którzy poświęcili się dziennikarstwu, niektórzy już nauczyli się pisać, przynajmniej jako tako. Natomiast, na krocie czytelników, trudno spotkać takiego, któryby umiał czytać, co tamci piszą. Podobnoś nikt dotychczas nie napisał fizjologji czytelnika gazet, a byłaby to przecież bardzo zajmująca praca, rozgatunkować całą tę wielką masę i wskazać rozmaite typy, jakie się wśród niej pojawiają. Oto mamy np. człowieka skłonnego do raptownych emocyj, i potrzebującego ich prawie koniecznie, zwłaszcza dla strawienia objadu. Ten chwyta chciwie każdy telegram i bierze go za dobrą monetę. Obok niego, drugi, który dowiedziawszy się od kilku lat ze szkodą swojej kieszeni o oddziaływaniu polityki na giełdę, patrzy z pogardą na wszystkie inne rubryki gazety, i czerpie informacje swoje jedynie z mistycznego języka, w którym *anglosy* i *francosy* donoszą nam o lepszem lub gorszem swojem powodzeniu — nie zważając na to, że właściciele tych *„os“*ów są takimi samymi ułomnymi śmiertelnikami, jak poprzedni typ czytelnika, i mają zawsze więcej nerwów, niż rozumni. Stroussberg oświadczył nawet przed sądem przysięgłych w Moskwie, że bankierowie są *„die dümmsten Leute in der Welt,“* czego nie tłumaczę na polskie z przyczyny, iż przyzwoitość nakazywałaby mi osłabić znaczenie wyrazów, wyrzeczonych przez tak kompetentne usta. Trzecim z pomiędzy wielu innych typów jest rozpowszechniony u nas od pewnego czasu wyznawca „bezwzględnej ufności,“ orjentujący się zawsze podług gazety „urzędowej,“ i przypuszczający prawdopodobność, że taki organ czerpie swoje wiadomości bezpośrednio z aktów dyplomatycznych, a nie z tego samego niepewnego źródła, co inne dzienniki.

Skoro już mowa o gazecie urzędowej, niech mi wolno będzie zrobić zapytanie, które umieszczam tu z powodu, iż niewiadomość nie jest rzeczą hańbiącą, a żądza wiedzy owszem rzeczą chwalebną. Pragnąłbym mianowicie dowiedzieć się, jakie też to instytucje istnieją w naszm kraju o b o k każdej władzy, o b o k każdego sądu, o b o k każdego zakładu naukowego, a nawet o b o k każdego pułku piechoty i jazdy? Instytucje te muszą być nadzwyczaj liczne i mieć niezmierną liczbę funkcjonarjuszów, ilekroć bowiem organ urzędowy donosi o awansach lub nominacjach, czytamy zawsze, że mianowano kogoś radcą p r z y namiestnictwie, adjunktem p r z y sądzie powiatowym, nauczycielem p r z y szkole ludowej, rotmistrzem p r z y ułanach i t. d. Wszak sądzę, że gdyby całe to mnóstwo, że tak powiem... *juxtaponowanych* urzędników, profesorów i oficerów zamiast p r z y władzach, p r z y szkołach i p r z y pułkach, umieszczono **w** samychże dykasterjach pomienionych, dałaby się osiągnąć nielada oszczędność w budżecie. Może szanowna *Gazeta Lwowska* zechce mi w tym wypadku przyjść w pomoc swojem niezrównanem światłem, którego nadaremnie szukałem w „szematyzmie“.

* * *

Z polityką walczy we Lwowie nie bez powodzenia, wydzierając jej uwagę ogółu, *Aida* Verdego. Jest to cały Champollion, Lepsius i t. d. przeniesiony na scenę. Kulisy od góry do dołu zapełnione hieroglifami, Apisy, Ibisy, Ichneumony, krokodyle, roją się po deskach teatralnych, a muzyka dla profanów jest ile możności bardziej hieroglificzną od tego wszystkiego. Wtajemniczeni mówią, że opera ta stanowi ogniwo łączące mu-

*

zykę włoską z „przyszłościowemi" jękami Wagnera. Ludzie, którzy wiele bywali w świecie, dodają do tego, że dyrekcja lwowska dokazała cudów, i że tak pod względem dekoracyj i kostjumów, jak i pod każdym innym, przedstawienia lwowskie *Aidy* nie ustępują najlepszym, jakie można widzieć za granicą. Jestem bardzo dumny z tego, w imieniu mojego stołecznego miasta, i będę się starał pojąć piękności muzyczne tego utworu o ile możności najprędzej i najdokładniej. Tak mi panie kapelmistrzu dopomóż, amen.

Jan Lam.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Zanim opuścimy góry zmuszony jestem poruszyć przedmiot, który jakkolwiek do działu przemysłu domowego w ścisłem znaczeniu tego słowa nie należy, jednakowoż dotkniętym być musi, zwłaszcza, że go dotychczas żaden głos publiczny nie poruszył, ku czemu mianowicie była sposobność, gdy w Sejmie mówiono o ochronie kozic, świstaków i rozmaitego ptactwa, które rabunkowy system wytępia. Biorę więc śmiałą inicjatywę, i przypominam jeden z najproduktywniejszych działów gospodarstwa na całej prawie linji Karpat, a tym są *pstrągi*.

Zacząwszy od granicy Bukowiny aż do końca łańcucha górskiego Karpat, Beskidów i Tatr, wszystkie rzeki i strumienie główniejsze obfitują w pstrągi. Najwięcej posiadają ich rzeki i strumienie w Karpatach wschodnich a najmniej w Beskidzie. Stolicą jednak pstrągów, a szczególniej pstrąg-łososi jest bez zaprzeczenia Prut i strumienie doń wpadające. Pstrąg — łososie prutowe dochodzą nawet wagi do 18tu funt. wied., o czem osobiście kilkakrotnie się przekonałem. Dwu-trzy-cztero-pięcio funtowe sztuki są rzeczą bardzo zwykłą. Pomimo takiej wielkości smak pstrąg-łososia jest wyborny i mięso nadzwyczaj delikatne. Jeszcze przed kilku laty obfitość pstrągów w Prucie i strumieniach doń wpadających była tak znaczną, że mieszkając przez dwa lata nad Prutem w środku Karpat, starałem się chociaż w przybliżeniu obliczyć roczny połów. Otóż rezultat moich badań wykazał, że od Jabłonicy i Worohty aż do Delatyna, a więc na przestrzeni trzymilowej w Prucie i jego odnogach, ułowiono pstrągów przeszło 30.000 sztuk, chociaż kompetentni i dłużej okolice te zamieszkujący twierdzili, że obliczenia moje ledwie połowę wynosiły. Bo nic nadzwyczajnego znaleźć u nadprutowego huculа zapas wędzonych pstrągów, do kilkuset sztuk wynoszący, chociaż na ten cel wybiera tylko sztuki najważniejsze.

Od czasu jednak, gdy dynamit został rozpowszechniony i z łatwością jest do nabycia, ponieważ w każdem miasteczku górskiem starozakonni handlarze dostarczają tego strasznego materjału mieszkańcom ponadrzecznym, obfitość pstrągów w zastraszający sposób się zmniejsza. Jeżeli w krótkim czasie władze krajowe z całą energją złemu nie zapobiegną, to pstrągi na całej linji gór naszych za kilka lat będą tak rzadkie jak kozice i świstaki. Lecz nie tylko pstrągi wyginą, — ale w ogóle rybołostwo nasze krajowe, które się już od dawna w najsmutniejszym stanie znajduje, dozna strasznego ciosu.

Wróćmy jednak do pstrągów. Dopóki siły dynamitu nie znano w górach, pstrągi były w pewnych porach roku, — że tak powiem — przez naturę samą ochraniane, i chociaż podczas samego tarła nawet bezwzględnego dopuszczano się rabunku, mimo to były ustępy, gdzie ryba chowała się jak w fortecy i zaledwie pojedyncze sztuki na wędkę mogły być chwytane. Przy innych sposobach łowienia narybek drobny uchodził żywy. Dziś jednak nie ma już takiego ustępu, ani głębi, gdzieby rzucony ładunek dynamitu nie tylko pstrągów ale wszelkich choćiażby najmniejszych żyjątk nie zabijał. Za jedną esplozją wypływa na powierzchnię kilkanaście kilkadziesiąt a nawet kilkaset pstrągów (szczególnie w czasie tarła) zdatnych do użycia, a drobiazg jednoroczny, który się zawsze gromadnie trzyma, dotknięty esplozją, ginie tysiącami.

Jak powszechnie wiadomo, pstrąg w każdym kraju europejskim, gdzie się znajduje, należy do najwyborniejszego gatunku ryb i stosunkowo po najdroższej cenie bywa sprzedawany. Przy tem mnoży się jak żadna inna ryba. Uwzględniając te dane, przyznać musimy, że dział ten w gospodarstwie i przemyśle górskim na całym łańcuchu jest większej wagi, niżeli się to komu zdawać może, i jeżeli uzyskamy dodatek do ustaw krajowych, zapobiegający eksterminacyjnemu ich niszczeniu dynamitem i w czasie tarła, jeżeli rybołostwo pstrągów wzięte w rzeczywistą a nie papierową obronę zostanie uregulowane, natenczas roczne korzyści bez najmniejszej przesady dojśćby mogły do sum bardzo znacznych. W wielu miejscowościach górskich, wody obfitujące w pstrągi należą do obszarów erarjalnych, a więc zdawać by się powinno, że straż leśna i administracja erarjalna winne w zakresie swoim stawiać przeszkody takiemu haniebnemu rabunkowi. Ale niestety tak się nie dzieje, i właśnie w takich miejscowościach wydarzają się największe nadużycia. Któż wytępił stada jeleni i tępi resztę dotąd od Czarnogóry aż ku Beskidowi, jeżeli nie sami panowie leśniczowie erarjalni; takich zaciekłych Nemrodów bylibyśmy w możności z nazwiska wymienić.

Jeżeli więc ustawą państwową rozpostarto opiekę nad kozicami, świstakami a nareszcie nad rozmaitem ptactwem, niechajże nasi posłowie reprezentujący góry, poczynią także wnioski, dążące do ochrony pstrągów. Jeżeli marynata z łososia, którą szczególnie Nowy Sącz i jego okolice jako artykuł handlowy rozsyłają, dziś nie tylko po całem państwie, lecz nawet w ościennych krajach takie posiada znaczenie i taki pokup znajduje, zapewniam, że przy jakiemkolwiek uregulowaniu nasze gospodarstwo pstrągowe mogłoby sobie otworzyć drogi nawet do Paryża, Londynu i innych stolic europejskich.

(C. d. n.)

Listy ze świata.

(Dokończenie).

Paryż w październiku 1876 r.

Początkowe „runoje" opiewając wielkość jego, nigdy nie mówią, że tylu zgromił wrogów, iż tylu ich położył trupem, tylu zabrał w niewolę, lecz że pierwszy uprawiać zaczął ziemię, pierwszy odkrył drogę do skarbów chroniących się w jej łonie, i to pługiem lub młotem swojego wynalazku. Zaprawdę, gdyby nie absolutna identyczność różnych tekstów, różnemi czasami i w różnych odkrytych miejscowościach, a skonstatowana przez najznakomitszych krytyków Europy i dająca się ciągle stwierdzać w pieśniach gminu od Botnijskiej zatoki do Uralu, każdyby wspomnianą epopeję z pewnem przeczytał niedowierzaniem, posądzając ją za robotę późniejszych czasów zręcznie podfarbowaną. Nic dziwniejszego bowiem, nad taki skok wstecz plemienia, które w prastarej, w przedchrześcijańskiej swojej przeszłości tak piękne kryjąc legendy, potem w przeciągu długich wieków roślinnym wegetując żywotem, nic nie wydaje i nic wydawać się nie sili. Jakich trzeba było uciemiężeń, jakiego kamiennego gniotu na mózg narodu, by zagłuszyć w nim pierwiastki obiecujące tak piękne owoce! W każdym razie, nie sposób nie przyznać, że biblja narodu „wybranego par excellence," to dzieło krwawe, pełne mordów, gwałtów, okrucieństw, z jej łamiącym co chwila zakon Boży Dawidem, z jej lubieżnym Salomonem, i z rozbójniczym nawet Samsonem, nie może wyjść korzystnie na bezstronnem porównaniu z opisywaną epopeją. Kto co woli zapewne, lecz nam się zdaje, że walka dźwiękami „kantele" jest piękniejszą od walki „Oślą szczęką" i lepiej jej wynajdywać pługi a młoty górnicze, niż za pomocą pochodni, przywiązanych do ogonów liszek, niweczyć chlebodajne niwy, chociażby one nawet były własnością Filistynów. Traktując wreszcie rzecz ze stanowiska poetycznej fantazji, łzy Bogów zasiewające Ocean mnóstwem pereł, wydają się nam fikcją wznioślejszą i wdzięczniejszą, niżli gniew Jehowy obracający w perzynę całe miasto, i za grzech pradziadów mszczący się na pokoleniu ich wnuków. Możnaby powiedzieć, iż „Kalewala" jest płodem stref umiarkowanych przyrody łagodniejszej i miłosierniejszej, gdy natomiast biblja hebrejska ze względu na bliskie sąsiedztwo krainy, która jej dała początek, ze zwrotnikowemi skwarami Afryki zdaje się być osłabionem echem Dahomejowskich obyczajów. Im bliżej ku równikowi, tem religja surowsze przybiera formy, a czczone przez nią bóstwo tem krwawszych ofiar domaga się od swoich wyznawców. Dość mu całopalenia wołów i baranów między 30 a 40 gradusem szerokości. Między 20 a 30 już mu całopalenia ludzi potrzeba. Religja tak pełna miłosierdzia, jak religja chrześcijańska, w Hiszpanji naprzykład pod podmuchem lecących od Sahary wichrów, zdolną była wydać inkwizycję i walczyć stosów płomieniami. Bądź co bądź, jakkolwiek zdaje się nam czasem, żeśmy przemogli naturę, żeśmy ją do poddańczego woli naszej zmusili posłuszeństwa, tak nie jest w samej rzeczy, i *volens nolens* my to raczej ulegamy jej panowaniu. To co my mienimy wysiłków naszych owocem, nie jest częstokroć niczem więcej, jak tylko manifestacją jej utajonej działalności. Trud ludzki może od czasu do czasu zmodyfikować jej wyroki, ale zmienić ich zupełnie nie zdoła. Gdzie ona nie posieje artystów, tam artystów nie będzie, chyba gdzieś który, zabłąkane ziarnko przypadkiem. Pod względem malarstwa naprzykład, Północ zawsze ustąpi Południowi. By wydać Rafaelów, Murillów, Veronésów, Tycjanów, potrzeba promiennych stref Iberji lub Italji. Przeciwnie nauki ścisłe wymagające uwagi, spokojnych nerwów i chłodnego zastanowienia, chętniej się gnieżdżą pod umiarkowanem niebem Północy Ten naród jest wojowniczym, tamten miłośnikiem pokoju, ten kocha się w pracy, tamten na wzór Neapolitańskich Lazaronów, woli się wygrzewać na słońcu. Czemu to przypisać? Wpływom otaczającej przyrody. Kto wie, czy *fatum* starożytnych nie było figurą tych wpływów. Społeczność owych wieków, mniej od nas posiadająca środków do walczenia z dzikszą i gwałtowniejszą naturą, musiała jej ulegać częściej i pokorniej, skutkiem czego energiczniejszych synów swoich podnosiła do godności pół-bogów. Raz przypuściwszy podobną hipotezę, ułatwimy sobie pojęcie roli augurów pogańskich decydujących niegdyś z taką pewnością o losach państw i narodów. Dojrzymy w nich bowiem filozofów, naturalistów, studjujących prawa rządzące wszechświatem, i na ich podstawie, z tego co było, o tem co będzie, logiczne częstokroć, choć tajemniczo wyrażone, wysnuwających wnioski.

Daleko zawiodłyby nas uwagi nad *Kalewalą*, bo aż do zgłębienia systematów naturalno religijnych. W obawie by dalsze traktowanie tej kwestji nie znużyło naszych czytelników, dla urozmaicenia listu innemi dopełnimy go rzeczami. Chociażby krótką wzmianką o literacko-politycznym sporze między pp.

Erckmann-Chatrian, znanymi romansopisarzami, a p. Saint-Genest, jednym z redaktorów dziennika *Figaro*, który to spór silnie tutejszą zajmuje publiczność.

Panowie Erckmann-Chatrian, synowie tej Alzacji, która najwięcej ucierpiała wskutek ostatniej wojny, która zatem najwięcej ma uzasadnionych racyj skarżenia się na szaleństwo i niedołężność polityki byłego cesarstwa, panowie ci republikańskiemi odznaczając się przekonaniami, jako ludzie pióra, walcząc piórem, we wszystkiem, co z pod pióra ich wybieży, przekonania swoje z istotną wiarą i istotnym wypowiadają zapałem.

Publikując w ostatnich czasach cały szereg powieści quasi-historycznych na tle wypadków 1870 i 1871 r. nie mogli nie sformułować żalów swych do upadłej dynastji w sposób dobitny. Przepełnili więc karty swych utworów ostremi krytykami owoczesnego stanu rzeczy, i zpoliczkowali w nich dwuznaczną konduitę niektórych tak cywilnych jak wojskowych znakomitości. Jedna z tych powieści *Przyjaciel Fritz* (l'ami Fritz) przerobiona na komedję, przyjętą została przez dyrekcję Teatru francuskiego i ma być przedstawioną w miesiącu Listopadzie. Zrozumiecie łatwo, że perspektywa podobnej publicznej łaźni nie uśmiechała się partji Bonapartystowskiej, która pomimo wszystkiego, jeszcze dość licznych posiada we Francji partyzantów. Mniejsza o książkę! Książka spoczywa w księgarni i kupowana przez szczupłe stosunkowo koło czytelników, zazwyczaj cieszy się znacznie mniejszym wpływem na publiczność. Ale propaganda głośna ze sceny, to co innego! Na przedstawienie sztuki, za franka a nawet i taniej, może pójść lada wyrobnik, żołnierz, służący, i przysłuchawszy się wypowiedzianym w niej prawdom, może swe przychylne, dla upadłej dynastji, zmodyfikować przekonanie. W obawie podobnie smutnych dla siebie konsekwencyj, zacna partja do zawzięcego na sztukę i jej autorów rzuciła się ataku. Pan Saint-Genest, jeden z redaktorów dziennika *Figaro*, człowiek zdolny, ale talentu swego na posługi nie ciekawych używający procesów, pierwszy podjął rękawicę. Paszkwile posypały się gradem na Alzatczyków. Rozjuszona smycz chartów z nie mniejszą wściekłością na osaczonego rzuca się zwierza. Nie ma potwarzy, którejby za broń dogodną w tej szlachetnej nie użyto obławie.

Krytykę cesarstwa okrzyknięto obelgą Francji zadaną, wodą na młyn niemiecki, posłuszeństwem tajnym rozkazom Bismarka. Wyzyskując obłudnie próżność i miłość własną wojskową, zaczęto wmawiać w oficerów, że policzki dane choćby Bazaine'owi, spadają na ich twarze. Pogróżki wygwizdania sztuki, przeszkodzenia jej przedstawieniu zaczęły się pojawiać. Pan Saint-Genest wiernych swoich począł nie żartem zachęcać do publicznego skandalu. Jednem słowem biednym gawędziarzom nie pozostawało nic, jak cofnąć chyba sztukę i do późniejszych odłożyć ją czasów. Szczęściem czy nieszczęściem, to zależy od sposobu widzenia rzeczy, p. Perrin, dyrektor „Teatru Francuskiego“ człowiek inteligentny i energiczny, nie uląkł się wspomnianych pogróżek i wystosowawszy bardzo przyzwoity list do dzienników, ogłosił w nim, że spory polityczne nie mogą i nie powinne wpływać na sztukę, że teatr jest areną zarówno dostępną dla wszystkich przekonań, byleby te wypowiedziane były z talentem, iż on, dyrektor pierwszej sceny francuskiej rozminąłby się z swoim obowiązkiem ustępując przed podszczuwaczami do skandalów, i że stałem jego postanowieniem jest przedstawić sztukę choćby na własną odpowiedzialność. Godny ton listu zamknął na chwilę usta krzykaczom. Ale cofając się z pola, banda ich nie dała za wygranę i na dzień pierwszego przedstawienia komedji groźną zapowiedziała demonstrację. Czy takowa przyjdzie do skutku? Czy rząd przeszkodzić jej potrafi? Czy republikanie hucznemi zagłuszą ją oklaskami? Wszystko to są pytania, na które trudno z góry odpowiedzieć. Może gorąca krew Bonapartystów ostygnie do tego czasu, może rozpalając się coraz bardziej do gwałtownych pobudzi ich kroków; może będziemy świadkami zapasów na kułaki, może... Przyszłość wyświeci.

W rzędzie nowszych księgarskich publikacyj zacytujmy „Świat nieznany“ (*Le monde inconnu*), romans przedhistoryczny pana Elie Berthet. Jest to jedna jeszcze próba popularyzowania nauki wzorem Juljusza Verne, chociaż może z mniejszym dokonana talentem. Opierając się na nowszych poszukiwaniach i odkryciach antropologicznych, p. Elie Berthet odtwarza świat przedpotopowy z epoki ciosanego kamienia, mamutów itd. i na tem tle fantastyczną rysuje powiastkę. Rzecz dająca się czytać z przyjemnością i nie bez korzyści. Licha to rola zaledwie kiełkującego na ziemi człowieczeństwa, w obliczu olbrzymich zwierząt i płazów, któremi ona była wtedy przepełnioną. Pierwsze, nieudolne kroki tego przyszłego zwycięzcy, pierwsze jego walki z tyłu i tak groźnemi wrogami, wspaniałe obrazy dzikiej, dziewiczej natury, wszystko to oddane z werwą, z życiem i z pewną nawet znajomością rzeczy, wszystko to zamknięte w skromnych ramach niezbyt grubego tomiku, czyni utwór nader treściwym i zapewnia mu powodzenie w kole nawet bardzo lekkich czytelników.

Ongiś, lat temu parę, kiedyśmy pierwsze nasze z „Tygodniem“ zawiązywali stosunki, donosząc czytelnikom o śmierci Juljusza Janin, znakomitego francuskiego krytyka fejletonisty, wspomnieliśmy o testamencie zmarłego, na mocy którego pozostała po nim bibljoteka zapisana na rzecz „Instytutu Francji“ publiczną miała się stać własnością. Przypominamy nawet sobie, iż rozczuleni tą królewską nieboszczyka hojnością, sutemi pamięć jego obsypaliśmy pochwałami. Tymczasem jak się dziś pokazuje, hojność ta egzystowała tylko w gazeciarskiej wyobraźni, testament bowiem zmarłego krytyka wcale podobnego nie zawierał kodycylu, i bibljoteka jego ma się sprzedać wkrótce z publicznego targu na korzyść naturalnych sukcesorów. Nie masz w tem zapewne nic złego, według praw egzystujących bowiem każdy może rozporządzać swą własnością jak mu się podoba. Ale dla czegoż pozwalać, by podobne wspaniałe wieści z ust do ust po szerokim rozchodziły się świecie? Dla czego nie przecząc im od razu, skoro się tylko zjawiły w dziennikach, upoważniać wywołane wspaniałością daru pochwały, by we dwa lata potem do zwykłej sobie, episjerskiej przystąpić licytacji. Nierozwaga ta była hasłem do dość cierpkich ze strony gazeciarzy dla familji zmarłego przycinków, a przy tej okazji i pamięć nieboszczyka ucierpiała po troszę. *Journal des debats* opowiadając całą sprawę, sięgnął do źródeł bibljoteki, do sposobu jakim się ona zebrała, i sprawozdanie swoje następną ostro brzmiącą zakończył uwagą:

„Bibljoteka nie kosztowała nieboszczyka drogo. Większa jej część złożoną była z podarunków młodych autorów, którzy radzi zapewnić sobie pobłażanie wziętego krytyka, egzemplarze dzieł swych w kosztownej posyłali mu oprawie. Wiemy nawet, iż Jules Janin nie raz i nie dwa razy, podatek ten spóźniającym się z nim przypominał literatom.“

W szpaltach *Journal'u des debats*, dziennika, w którym Jules Janin najpiękniejsze zżynał niegdyś laury, uwaga powyższa podwójnie doniosłe ma znaczenie.

Tyle się wygrywa na nierachowaniu się z opinją publiczną.

Otośmy u kresu listu.

Do następnego

J. S. Chamiec.

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

(*Ciąg dalszy.*)

Gdy ukazał się we drzwiach, obie młode kobiety zwróciły oczy na niego. Wzrok Mili wyrażał życzliwość spokojną, z oczu Niny strzelił jakiś promyk, jak szatanik, zarazem drwiący i wesoły. A maleńka dziecina bawiąca się lalką w kącie pod oknem, przybiegła do ojca, czepiła się ręki jego, i usiłując ją pocałować, mówiła pieszczotliwie:

— Mój tatko!

Pan Jakób, zda się nie zwrócił uwagi na pieszczotę dziecka, gdyż wykręcając rękę w górę, wyciągnął ją z rączek maleńkich, a klepiąc dziecinę jakby bez myśli po główce, powiedział.

— Idź, idź, do swojej zabawy.

Widzimy, że i uczucie ojcowskie było w nim mierne. Natura tworząc tego człowieka, zdaje się wzięła sobie za podstawę tak fizycznej jak i moralnej jego budowy mierność. Zbliżył się do stolika, przy którym siedziała żona jego, a rzucając niecierpliwie i z widocznie złym humorem rękawiczki i czapkę, a rękę przeciągając od spoconego czoła przez całą długość twarzy aż do brody, której zarost pokręcił na końcu w palcach, zawołał:

— A! człowiek się męczy, uwija, nuży, a to wszystko djabła warte, jeżeli nie będzie jeszcze deszczu tydzień jaki, tak wszystko w łeb weźmie, jęczmiona pozaostrzały się, pszenica pożółkła, żyto licho się sypie.

— Objeżdżałeś pola? — zapytała żona aby coś powiedzieć.

— Ta objeżdżałem, ale co to wszystko warto. Żeby choć ludzi mieć takich jak potrzeba, ale to ekonom ciura, polowi leniuchy, a i leśni złodzieje. Ot i dziś spotkałem Hryńka Maksymowego, gdy niósł z lasu całą wiązkę suchego łomu.

— Jakóbie to przecież nie jest żadną szkodą w lesie, a on taki biedak, żona mu już od pół roku chora.

— A co mi tam do jego żony; z mego lasu nie wolno jednego pręta suchego nikomu ruszyć. I od tej zasady nigdy i dla nikogo nie odstąpię.

— Stałość zasad jest zawsze wielką zaletą męskiego charakteru, — w tonie wesoło drwiącym powiedziała Nina.

Pan Jakób popatrzył na nią z pod oka, czy nie zrozumiał, czy nie chciał zrozumieć złośliwego żartu.

— Wyobraź sobie, jakie mam jeszcze zmartwienie — zwrócił się do żony. Ta szpakowata klaczka trzyletnia zakulała, niedbalce ci furmani coś jej zrobili, noga spuchnięta koło pęciny, ani postąpić.

— Trzeba może sprowadzić konowała, zrobiła żona uwagę.

— Wiem sam o tem, ale to zaraz kosztuje. A, to jest miła rzecz, jak tylko człowiek oczy otworzy, tak zmartwienie za zmartwieniem, szkoda za szkodą, a zawsze tylko płać i płać. Żeby to jeszcze choć Bóg deszczu dał, ale jak go nie będzie, to już przyjdzie zginąć bez ratunku.

— Mój Jakóbie, dla czego przypuszczasz zawsze najgorsze, i gryzisz się naprzód; a gdyby nawet urodzaje nie były najlepsze, to nie jesteś przecie bez grosza, a wydatki nasze tak nie wielkie.

— A moja kochana, ja niemogę być taki obojętny na to, co mnie najbliżej dotyka, obojętność taka jest wyłącznym przywilejem kobiet, pochodzącym z ich lekkomyślności.

— To ty nie wiesz, jaka jest tego przyczyna, że kobiety nie są skłonne do takich nieustannych jeremiad? zawołała Nina patrząc filuternie na szwagra.

— Już powiedziałem, że niepojęta i niczem nie wytłumaczona lekkomyślność — trochę ostro odciął.

— Ależ mylisz się najzupełniej, całkiem czemu innemu należy to przypisać, a mianowicie temu, iż w starożytnych czasach nie było pani Jeremiaszowej, a był tylko pan Jeremiasz. Ta przecież zaszła zmiana od owych czasów do dzisiejszych, że ongi był jeden Jeremiasz, a obecnie w każdej szlacheckiej rodzinie musi znajdować

się jeden przynajmniej exemplarz, ku uprzyjemnianiu czasu całemu domowi.

Pan Jakób słuchał, i patrzał w uśmiechniętą twarz Niny z rodzajem gniewnego lekceważenia, w końcu jakby powstrzymując się od ostrzejszych wyrazów, powiedział:

— Przecież żądać nie możesz, abym dla zabawienia cię cieszył się, że pszenica schnie, i że najpiękniejszy koń kuleje.

— Ależ ja nie żądam, tylko bronię siebie i swój rodzaj od zarzutu lekkomyślności. Przeciwnie, nie potrafiłabym już z tobą o niczem innem mówić, jak o pszenicy i nawozie, o kartoflach i wołach, gdyż zdawałoby mi się, że nie z kochanym szwagrem rozmawiam, którego uznaję za wzór gospodarzy. A nawet mam i tę korzyść, że już naprzód wiem, o czem będę całe życie z mężem mówić. Teraz się wprawię, po tem będzie jak znalazł.

Mila chcąc przerwać rozmowę prowadzoną jeszcze swobodnie, ale która mogła zejść na drażliwą, zagadała męża o dziecku, którem martwiła się bardzo, gdyż od niejakiego czasu zauważała, że ma jeden boczek wyższy.

— Wiesz Jakóbie jak bardzo zmartwiłam się dzisiaj, ubierając Manię, spostrzegłam, że wypukłość boku nie zmniejsza się, ale przeciwnie powiększa, trzeba by się poradzić o nią, może by dało się zapobiedz rozwijaniu tej nieforemności.

— Ej co ty się tem troszczysz, dziecko wyrośnie z tego! A choćby tam nie była tak bardzo prosta, byle pieniądze miała, znajdzie męża!

Nawet nie powiedział żonie dla uspokojenia: trzeba posłać po lekarza, tak jak ona jemu powiedziała: trzeba posłać po konowała. W tej chwili wszedł służący oznajmiając, że ekonom przyszedł w jakimś interesie, i czeka w kancelarji.

Pan Jakób wstał i wyszedł.

W pół roku później, Nina była panią Konstantową.

Trzy lata przemknęło jak jedno mgnienie oka — dotąd przepowiednia Niny spełniła się. Przy dobrym rozumnym i szlachetnym mężu, życie płynęło jej szczęśliwie, bez żalu i wspomnień przeszłości, jasne na przyszłość.

Dziś zastajemy ich w rannej godzinie, w ładnym saloniku przy śniadaniu.

Ona w muszlinowym białym negliżu, przystrojonym pąsowemi wstążkami, świeża żywa i wesoła krząta się koło stolika, pan Konstanty siedzi w fotelu, z uśmiechem i miłością patrzy na piękną żonę, i słucha z przyjemnością dowcipnych jej uwag nad świeżo wspólnie przeczytaną nową powieścią.

Wejście służącego przerwało tę miłą pogadankę małżeńską; przyniósł nadeszłą właśnie przesyłkę pocztową. Pan Konstanty otworzył torbę i począł wyrzucać gazety, dzienniki, pakiet świeżych książek, w końcu listy. Ująwszy jeden zapieczętowany w eleganckiej kopercie, zawołał z radością.

— Jest odpowiedź od Juljana, ciekawym czy przystaje na moje wezwanie.

— Cóż więc pisze? — zapytała Nina przechylając się przez ramię męża i czytając w otwartym już liście.

— Przyjmuje moje warunki i przyjeżdża do nas na całe lato, dla rozmierzenia pól i lasów moich, i dla zrobienia planu młyna parowego. Nina wzięła list z rąk męża, przebiegła oczyma, i zaczęła się śmiać z niepohamowaną wesołością.

— Co ci on tu pisze? że obecność żony twojej będzie go trochę żenować, gdyż kobiet się boi? A to musi być jakiś oryginał i dziwak!

— Nie, dziwak nie jest, ale ma trochę oryginalności, co mu przecież nie przeszkadza być bardzo rozumnym, wyżej wykształconym człowiekiem.

— Ależ dlaczego boi się kobiet?

— Myślę, iż żartem tak się wyraził, widywałem go w towarzystwach, i nigdy tego nie zauważyłem.

— Ale wiesz, że zaczyna mnie już zaciekawiać ten twój przyjaciel. I kiedyż przyjedzie?

— Nie oznacza dnia, ale zapewne wkrótce.

Powtórne wejście służącego przerwało rozmowę. Tym razem przyszedł powiedzieć, iż jakiś człowiek ze wsi chce się widzieć z panem.

— Ależ dajcież panu spokojnie wypić herbatę; niech poczeka trochę.

— Nie moja Nino, rzekł pan Konstanty powstając, wolę wyjść i rozmówić się z nim zaraz — nie lubię gdy kto na mnie czeka. Może ma jaki pilny interes, może potrzebuje rady lub pomocy. — Żona patrzała na niego z uwielbieniem.

— Jaki ty dobry jesteś! zawołała w uniesieniu.

Konstanty uśmiechnął się, a uśmiech ten upięknił nad wyraz twarz jego męską i szlachetną, ale nie piękną.

— Nie wiem co ty widzisz w tem tak nadzwyczajnie dobrego. Wszakże gdyby mi powiedziano, iż przyjechał i czeka u mnie sąsiad, choćiażby w najdalszych i najzimniejszych stosunkach zostający zemną, poszedłbym zaraz powitać go i bawić błahą i nic nie znaczącą rozmową. A wtedy nie nazwałabyś mnie dobrym, ani nawet grzecznym, gdyż spełniłbym tylko obowiązek.

Idąc wysłuchać prośby, skargi czy żądania wieśniaka, spełniam również tylko obowiązek społeczny, nie dając rozrywać się węzłowi, jaki istniał między dawnym panem a poddanym, a jaki powinien dziś istnieć między rozumniejszym i bogatszym, a uboższym i nieoświeconym.

Nie czekając odpowiedzi żony wyszedł.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Pamiętnik Humorystyczny. Zbiór humoresek, anegdot i humorystycznych wierszy. Wychodzi zeszytami staraniem i nakładem Bolesława Krzywdy. Zeszyt I. Toruń — 1877. Cena zeszytu 50 cent.

Zamiarem wydawnictwa Pamiętnika Humorystycznego zebrać z rodzinnej niwy humorystycznej, co ustnie krąży pod różnemi formami — zebrać dalej porozrzucane brylanty humoru i dowcipu po różnych czasopismach i broszurach — wreszcie posiłkując się co do cudzoziemskiej humorystyki kilkoma odpowiedniemi publikacjami a nadewszystko wyszłą niedawno w Paryżu: „Encyklopedją Anegdot“ wydaną staraniem Edmunda Guérard'a, utworzyć z tego wszystkiego całość ku pożytkowi i rozrywce czytelników. Wydawca mówiąc o ogólnym kierunku, uprzedza, że w Pam. Humor. nie znajdzie się nic takiego, coby w jakikolwiekbądź sposób demoralizująco wpłynąć na kogo mogło, i że nikt nie spotka się z rzeczą trywjalną, lub nieprzyzwoitą. Pamiętnik humor. w dzisiejszych czasach ciężkich może użyczyć bardzo potrzebnej chwilki wypoczynku i rozrywki.

— Wykład chemji Ogólnej, Gorup-Besaneza. Część pierwsza. Warszawa — 1876.

Br. Znatowicz, znany w literaturze naukowej z przekładu „Chemji Organicznej Schorlemmera“ opracował obecnie wyżej przytoczone dzieło. Z przedmowy tłumacza dowiadujemy się, że dzieło to, jakkolwiek obszerne, nie jest jednak wyłącznie dla specjalistów przeznaczone, lecz przedewszystkiem korzystnem być może dla samouków. Opis doświadczeń i postępowania chemicznego tak jest prowadzony, ażeby i uczącym się po za obrębem szkoły mógł zastąpić samę demonstracje. Szczególnie jednak zasługuje na uwagę szczęśliwa myśl połączenia poglądów dawniej panujących z nowemi. W ostatnich latach zaszła ogromna zmiana pojęć, a wprowadzenie systematu unitarnego stworzyło jakby nową chemję, niezrozumiałą zupełnie dla tych, którzy przed kilkunastu laty słuchali wykładów według poglądów dualistycznych. Dla tych więc książka ta, łącząca niejako systemat dawniejszy z dzisiejszym, a raczej wykazująca całym swym układem różnice ich i wyższość nowszego, będzie nabytkiem nieocenionym. Tłumacz, jakkolwiek posługiwał się najświeższem wydaniem niemieckiem z r. 1876. dopełnił jeszcze część opisową według najnowszych słowników i podręczników chemicznych, część teoretyczną rozszerzył czerpiąc z dzieł Wurtza i innych, a nadto dodał wiadomości z technologji chemicznej, brakujące w oryginale.

Zdanowicz — Sowiński. Rys dziejów literatury polskiej. Tom III. Wilno. — 1876.

Do najważniejszych wydawnictw należy niewątpliwie Rys dziejów literatury Polskiej. Tom ten wielkiego rozmiaru, bo o 791 stronicach, obejmuje okres piąty od czasów Mickiewicza do dni dzisiejszych. Dzieło to z początku na dwa tomy obmyślane i mające się głównie osnować podług notat Aleksandra Zdanowicza pod umiejętną redakcją L. Sowińskiego rozszerzyło daleko więcej swoje ramy a Sowiński już w II. tomie poszedł samodzielną drogą.

Powrót Gołębia i Królestwo Ideału. Warszawa. — 1876.

Pod tym tytułem wyszły w pięknem i ozdobnem wydaniu poezje Deotymy. Na ustępie czytamy ciekawe szczegóły biograficzne naszej poetki.

Nic nowego pod słońcem. Powieści przez Marję Szeligę, Warszawa. — 1876.

Przesądy. Komedja w pięciu aktach przez Edwarda Lubęwskiego. Warszawa. — 1875.

Listy humorystyczne Hilarego Tetlemberskiego, umyślnego korespondenta dziennika „Kometa“ z wystawy powszechnej w Filadelfji z 62 rysunkami F. Kostrzewskiego. Warszawa. — 1876.

Dr. Guido Krafft. Uprawa roślin gospodarskich, jako to zbiór, roślin pastewnych, okopowych, handlowych, olejnych, farbierskich etc. Z opisaniem szkodliwych roślin i owadów. Warszawa. — 1877.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Wiktoryn Sardou, tak znakomicie malujący w komedjach obecne społeczeństwo francuskie, ilekroć pisze dramat, zawsze temat do niego bierze z obcej historji. Być może, że czyni to dla tego, ponieważ chce zostać bezstronnym i nie dać się uwieść prądom współczesnej polityki. „Ojczyznę“ osnuł na dziejach wyzwolenia Niderlandów z pod tyranji Hiszpanów, do „Nienawiści“ dostarczyła mu tematu domowa walka papiesko-demokratycznych Gwelfów z cesarsko-arystokratyczną partją Gibellinów. Wojna ze wszystkiemi krwawemi epizodami, wyborny to temat dla epopei, nie nadaje się jednak zbyt dobrze jako przedmiot dramatu, to też kilka pierwszych odsłon „Nienawiści,“ w których ciągle tylko nieprzyjacielskie partje walczą ze sobą, nie budzą w wielu wielkiej ciekawości, a prawdę powiedziawszy poniekąd nawet nużą. Natomiast w następnych odsłonach, w których autor przechodzi do skreślenia walki duchowej swych bohaterów, dramat rozwija się z prawdziwie poetycznym polotem. Bogactwo prawdziwie dramatycznych i zajmujących sytuacyj nie pozwala widzowi ani na chwilę skupionej uwagi oderwać od sceny. Charaktery w tej sztuce dobrze pomyślane i przeprowadzone z psychologiczną prawdą i delikatnem ninansowaniem. Pod względem budowy wiele by „Nienawiści“ zarzucić można, szczególnie uderza każdego dziwaczne zawiązanie dramatycznego węzła i za raptowne rozwiązanie dramatu. W każdym jednak razie „Nienawiść“ zaliczyć musimy do lepszych dramatów historycznych, jakie się w ostatnich czasach na naszej scenie pojawiły. Na zaletę tego dramatu powiedzieć także musimy, że piękną, patrjotyczną odznacza się tendencją,

a niektóre ustępy jak np. przemowa Orsa po dokonanem zwycięztwie tchną gorącą miłością ojczyzny i bezgraniczną ofiarnością dla jej dobra. Przedstawienie „Nienawiści“ na naszej scenie w połowie nas tylko zadowoliło. Wystawa wiele pozostawiała do życzenia. Wiemy dobrze, że we Lwowie niepodobieństwem jest wystawić odpowiednio sztukę, która wymaga olbrzymich wydatków na kostjumy dla mnóstwa osób i kosztownych dekoracyj. W każdym jednak razie uważać należy, żeby iluzja była jak największą. Bitwa, w której z jednej i drugiej strony walczy po pięciu ludzi, może wywrzeć na widzu tylko komiczne wrażenie. Dyrekcja czuła to dobrze, i dla tego pierwsze odsłony doprowadziła do najmniejszych możliwych rozmiarów. — Pod względem gry na uznanie zasługują p. Ładnowski, który z prawdziwem przejęciem się odegrał trudną rolę naczelnika Gwelfów, Orsa, i pani Nowakowska (Kordelja.) Forsowna ta rola bohaterskiej kobiety wymaga wprawdzie większej potęgi głosu niż pani N. posiada, ale w obecnym składzie personalu, jedynie p. N. grać ją może. Ciemną stronę przedstawienia był p. Dobrzański w roli wodza Gibelinów Giugurty. Wyborny ten komik ilekroć występi w roli dramatycznej, budzi śmiech zamiast podniosłego wrażenia. Talent jego ma ściśle określone granice, po za które nie powinien we własnym interesie wykraczać. P. Zamojski znowu nic a nic roli nie umiał. Nieuczyć się roli, jest to jego zasadą, której przestrzega zawsze z skrupulatnością, godną lepszej sprawy. Całość przedstawienia utykała gdzie niegdzie, spodziewać się jednak należy, że w drugiem przedstawieniu usterki te usunięte zostaną.

— W *Bibljotece Mrówki* wydawanej nakładem Księgarni Polskiej wyszły w nowem taniem wydaniu: Brodzińskiego, Wiesław; Goszczyńskiego, Sobótka, Straszny Strzelec; Niemcewicza, Śpiewy historyczne; Kochanowskiego, Szachy; Słowackiego, Kordjan; Zielińskiego, Kirgiz; Robinson na wyspie; Chronologja polska (króciutka). Są to tak znane dzieła, że zbytecznie byłoby coś więcej o nich mówić.

— Pan Sygurd Wiśniowski napisał obszerne dzieło pod tytułem: „Dzieci Królowej Oceanji“ w którem pod nieznaną dotąd w literaturze naszej formą podróżo-powieściową przedstawił bardzo zajmująco stosunek plemienia Nowej Zelandji do białych osadników europejskich.

— Prof. Rymarkiewicz w ostatnim zeszycie *Ateneum* podnosi nieocenione dotąd należycie zasługi Jana Kochanowskiego, jako sielankowego pisarza. Ten sam zeszyt obejmuje również ciekawe studjum W. Spasowicza o „Pamiętnikach Matuszewicza,“ i A. Jabłonowskiego „O muzułmańskim Wschodzie.“

— Pan Henryk Sienkiewicz (Litwos) autor wybornych bezsprzecznie „Listów z Ameryki“ drukowanych od czasu do czasu w *Gazecie Polskiej*, napisał podobno na drugiej półkuli dramat i powieść. Radzibyśmy najrychlej zapoznać się z owocami pracy tego utalentowanego pisarza.

— Nakładem rodziny śp. Józefa Kremera byłego rektora uniwersytetu Jagiellońskiego wyszło pośmiertne wydanie dzieła tegoż autora pod tytułem: „Początki logiki dla szkół średnich.“

— Bret Harte wydał nową powiastkę w obronie Chińczyków osiadłych w Ameryce nad Pacyfikiem, gdzie ich osiedlenie daje powód do częstych agitacji i wywołuje zawiłą kwestję starcia dwóch ras, nie cierpiących się a więc nie dających się zamalgować. Nowa ta nowella Bret Harta celuje humorem i patetycznością.

— Błędną była wiadomość, podana przez *Gazetę Narodową* o sprzedaży „Żywych pochodni Nerona.“ P. Siemiradzki nie sprzedał jeszcze swego obrazu, i teraz z Wiednia posyła go na wystawę do Warszawy.

— Kustoszem bibljoteki imienia Ossolińskich we Lwowie został mianowany dr. Aleksander Hirschberg, a skryptorem tejże bibljoteki p. Klemens Kantecki.

— Dr. Zeissberg, profesor wszechnicy wiedeńskiej, a niegdyś lwowskiej, nie przestaje zajmować się studjami z historji polskiej, które w naszym kraju rozpoczął. Właśnie temi dniami przedłożył Zeissberg wiedeńskiej Akademji umiejętności szereg pomniejszych źródeł do dziejów Polski XII i XV wieku, które odkrył w bibljotekach polskich, włoskich i niemieckich. Między temi materjałami znajdują się nekrologje i księgi brackie kilku polskich klasztorów, liczne listy znakomitych mężów, mianowicie Długosza i Kallimacha, akta do zamierzonej kanonizacji królowej Jadwigi, rachunki dworskie Władysława IV, książeczka o wychowaniu królewiczów, darowana przez królowę Elżbietę żonie króla węgiersko-czeskiego Władysława i t. p. Wszystkie te źródła poprzedzone są krytycznemi wstępami.

— We Wiedniu odsłonięto dnia 10 bm. pomnik Schillera, na placu noszącym nazwisko tego poety. Uroczystość była wielka; cesarz także w niej uczęstniczył.

— Pierwszy bal Opery w Paryżu, zapowiadany jest na 15 stycznia 1877 roku. Dyrekter Halanzier kazał sporządzić do balu tego dekorację, która kosztować ma 120,000 franków. Orkiestra będzie niewidzialną na podobieństwo pomysłu wagnerowskiego. Ta tylko jest różnica, iż przygrywać będzie nie z pod ziemi ale... z czwartego piętra.

Podróże.

— Naczelnik angielskiej wyprawy podbiegunowej kapitan Nares wraz z dwoma swoimi towarzyszami kapitanem Fieldem i lekarzem okrętowym Mossem przybyli już do Londynu, i wkrótce posypią się teraz zajmujące opisy tej wycieczki, urzędowe i nieurzędowe. Z ogłoszonych dotychczas sprawozdań wynika, że wyprawa nie mogła posunąć się naprzód, i dla tego najroztropniej uczyniła, wracając bez ofiar. Rozpoczęte w r. 1497 badania okolic polarnych, uzupełniła ona odsłonięciem nowej przestrzeni około 48 kilometrów kwadratowych liczącej, i mniema, że przypuszczenie o egzystencji otwartego morza przybiegunowego jest nieprawdziwe. Niemieccy geografowie, którzy przed odejściem wyprawy przepowiadali, że nie osiągnie ona celu swojego przeprawą w kierunku północno-zachodnim, mieli zupełną słuszność. Trzej admirałowie angielscy: Richards, M'Clintock i Sherard Osborne, którzy należeli do komitetu organizacyjnego, sądzili natomiast, że ich projekt zasługuje przynajmniej na spróbowanie. W skutek rozproszenia tej illuzji przyszłe wyprawy pod biegun poprzestaną zapewne na forsowaniu kierunku północno-wschodniego. Z małemi wyjątkami załoga okrętów pozostała zdrową. Padło tylko kilku, a przy pracy pod tak wysokiemi stopniami szerokości, omdlenie i bezsilność opanowywały ludzi częścią wskutek nadzwyczajnego zimna, częścią w skutek braku mięsa świeżego, albowiem konserwy mięsne nie wystarczają do reprodukcji siły muskularnej i cieplika. Brak mięsa świeżego, spowodował wybuch skorbutu, który ustał dopiero, gdy zaczęto dawać ludziom świeże mięso. W kwaterach zimowych pod 82° 26' załoga statku „Albert“ upolowała 6 piżmaków. W zatoce „Discovery“ ubili podróżnicy ogółem 54 tych zwierząt. Zresztą zabito także 90 sztuk różnego ptactwa. Pomiędzy zatoką Melville i kanałem Smitha podróżni nie spotkali żadnego lodu. U przylądka Sabrine ujrzeli pierwszy lód ruchomy, i wtedy rozpoczęły się trudności. W pobliżu londu Grinelt oba okręty zostały powstrzymane lodami. Ilekroć posunęły się naprzód, droga zamykała się za niemi, i nie mogły ani naprzód, ani w tył płynąć. Wyruszywszy z Anglji w maju, dnia 25 sierpnia r. 1875 znajdowały się na zachód od Halls Bassin, 81° 44' i tam zatrzymał się statek „Discovery“ na leże zimowe, o parę mil od zatoki Polaris. „Albert“ pruł lody dalej, opłynął północno-wschodni cypel lądu Granta, zamiast jednak spodziewanego wybrzeża mającego mieć około 16 kilom. długości, znalazł niezmierzoną okiem płaszczyznę wodną, okrytą lodami nie do przebycia. W tem miejscu „Albert“ musiał przezimować, i stał na miejscu 11 miesięcy. To lodowate morze ochrzcił kapitan Nares „Morzem odwiecznego lodu“ (morzem paleokrystycznem), a góry lodowate tamtejsze przezwał „Floeberg“ (góry z kier lodowych). Grubość tych lodowców wynosząca 25 — 35 metrów chroniła statek od zgniecenia, lecz nagromadzenie tych gór czyniło teren nadzwyczaj trudnym do przebycia saniami. Pełno przepaści i barykad. Drogę w pochodzie musiano torować sobie kilofami. Pod lodami temi głębia morska mierzyła tylko 131 metrów. Z okrętu zrobiono wyprawę na lody, ale dziennie nie można było ujechać więcej jak dwa kilometry. Nares wysłał komisję w kierunku północnym, która w przeciągu 92 dni dotarła do niepraktykowanej dotąd szerokości geogr. 83° 20' 26", i tamże d. 12 maja zatknęła sztandar angielski (Payer z „Thegethofu“ posunął się był najdalej do 83°5.) Wycieczka ta zrobiła 127 kilometrów naprost, ale w tym czasie miała zrobić 444 kilometrów drogi. Jeszcze d. 27 września przeszłego roku tj. 3 miesiąca po odjeździe z Anglji, zrobił „Albert“ najważniejsze odkrycie tej wyprawy, tj. że hipoteza otwartego morza przybiegunowego jest bajką. Porucznik Aldrich posunął się o 5 kilometrów dalej, niż dawniej kapitan E. Parry, i z góry 600 metrów wysokiej patrząc ku północy widział nieprzejrzaną płaszczyznę lodu. Tylko na północny zachód widział ląd aż do 83°7 szerokości geogr. lecz na północ nie był żaden ląd widzialny. „Discovery“ dopiero późną jesienią czynił wyprawy sankowe, ruchomość lodu nie pozwalała tego zrobić prędzej. Okoliczność ta przeszkadzała także skomunikowaniu się obu okrętów. Zimę, sto czterdzieści dwa dni bez widoku słońca, przepędziła załoga „Alberta“ koncertami, przedstawieniami teatralnemi, odczytami i nauką. Mróz w przeciętnym wynosił 38' Fahrenheita. Największy był 72° F (— 58° C). Przez 13 dni po kolei pokazywał termometr 59° F. Przez 47 dni żywe srebro było zamarznięte. D. 29 lutego zeszło słońce na nowo. D. 12 marca „Albert“ wysłał ludzi dla odszukania statku „Discovery.“ Ale doświadczony w wypadkach lodowcowych Petersen zachorował tak, że musiano wrócić. Po drodze tym tylko sposobem utrzymywano go przy życiu, że na przemian jeden leżał koło niego i grzał go, podczas kiedy drudzy chodząc rozgrzewali się. W tydzień później wybrała się druga ekspedycja i znalazła „Discovery,“ którego załoga na wszystkie boki robiła wycieczki naukowe. Kapitan Stephanson był sam dwa razy w Grönlandji. W zatoce Polins umarł przewodnik Hall i postawiono mu tam pomnik. Odszukano wszystkie groty, poustawiane podczas ekspedycji „Polaris.“ W jednej z nich znaleziono chronometer fabryki Negusa z Nowego Jorku który mimo 4 zim przebytych w sferze lodowej nakręcony zaczął iść na nowo. W tem samem miejscu „Polaris“ zostawiła była trochę ziarn pszenicy. Posadzone w wazonie zaczęły całkiem dobrze kiełkować. Jedna taka wyprawa omal że nie zginęła. Uratował ją tylko porucznik Paro, puszczając się po topniejącym lodzie, i robiąc 56 kilometrów do okrętu, zkąd zabrał pomoc dla zmęczonych i pozostawionych dwóch towarzyszy. Aż do wysokości 82° 50' znajdywano ślady eskimosów osobliwe koło cieśniny Smitha. Tamtędy widocznie koczownicze te pokolenia przeprawiły się do Grönlandji. Przylądek Józef Henry (82° 50') zdaje się być najwyższym punktem, do którego dolatują ptaki. Na lodowcach podbiegunowych wszelkie ustaje życie. „Albert“ był zamknięty do dnia 3 sierpnia; d. 12 sierpnia spotkał się znowu z „Discovery.“ Wracając, na przylądku Isabela znaleźli żeglarze listy, które dla nich pozostawiła była „Pandora.“ D. 25. września przybyły statki do Disco.

Komunikacje.

— Z Peruwji piszą: Droga żelazna wiodąca z Limy do Oroja jest dziełem inżyniera Ernesta Malinowskiego, który na swą i imienia polskiego chwałę, nietylko pierwszy podał myśl połączenia żyznych dolin Amazonki z Oceanem spokojnym, ale i plan swój w wykonanie wprowadził. Historja tej kolei jest krótka i niedawna. W r. 1859 p. Malinowski przedstawił po raz pierwszy ówczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej potrzebę otwarcia przystępu do skarbów roślinnych i mineralnych, nagromadzonych wewnątrz Peruwji, jako najpierwszy sposób zabezpieczenia przyszłości tego kraju; ale rozruchy, wojny domowe i sprawy polityczne, stały ciągle na przeszkodzie do urzeczywistnienia tego planu — aż do roku 1869, w którym rząd półkownika Balta zadekretował sumę 27 miljonów soles (136 miljonów franków) na zbudowanie kolei żelaznej, któraby wychodząc z portu Callao, dochodziła doliną rzeki Rimac na drugą stronę Andów do wioski Oroja. Po długich dyskusjach zgodzono się na linię Lima-Oroja i w tydzień po podpisaniu dekretu, wzięto się do roboty...

Nekrologja.

† Maurycy Mann, zdolny publicysta i redaktor *Czasu* umarł w Krakowie.

† Bolesław Podczaszyński, znany architekt i archeolog, umarł w Warszawie.

† Giacomo Antonelli, kardynał i głośny sekretarz państwa przy stolicy papieża Piusa IX, umarł w Rzymie.

ROZMAITOŚCI.

— O strasznym losie rozbitków okrętu San Rafael, na wyspie Hoste-Island, w grupie wysp Falklandzkich, ministerstwo kolonij w Londynie ogłasza następujące bliższe szczegóły: „Jak się zdaje, Indjanin pewien z krajowców falklandzkich pierwszy spostrzegł na dzikiej, jałowej i odludnej wyspie ślady nieszczęśliwqch rozbitków, przemykając się na wiotkiej swej łodzi wzdłuż wybrzeży Hoste-Island. Ponieważ miał z sobą na łodzi tylko swą żonę, obawiał się przeto wylądować i popłynął dalej, ażeby więcej z sobą sprowadzić ludzi. Po jakimś czasie wylądowało kilku Indjan, wdarło się na wybrzeżne skały i znalazło tam siedmiu Europejczyków już nieżywych, a dwóch żyjących jeszcze lecz bardzo osłabionych z członkami sztywnemi i niezdolnemi do najmniejszych poruszeń. Biedni ci rozbitki podobni byli raczej do skieletów niż do istot żyjących, a gdy ich podniesiono z ziemi, nie mogli się o własnych siłach utrzymać na nogach. Na ich widok czarni krajowcy rzewnie zapłakali i natychmiast rozłożyli ogień dla ogrzania ich, przynieśli im wody krynicznej i na pokarm ubili ptaka morskiego. Ofiarowali się także zabrać ich z sobą do swych osad, zwłaszcza jednego, który był jeszcze przytomny, lecz nieszczęśliwi nie chcieli przystać na to. Ten z rozbitków, który zdawał się być jeszcze przytomnym, pił dwa razy podaną mu wodę lecz ptaka jeść nie mógł. Indjanie odeszli, a wróciwszy na drugi dzień, zastali już bez życia obu rozbitków. Różne rzeczy, znalezione przy nich, z sobą zabrali, lecz odzieży z trupów nie wzięli. Później missjonarze pochowali zwłoki na odludnej wyspie, przyczem znaleźli cztery luźne kartki z dziennika kapitana Mac Adama. Stanowiły one rodzaj listu pisanego do syna kapitana w Anglji. Kartki owe zapisane zostały w czterdziestym pierwszym dniu pobytu rozbitków na dzikim ostrowie wśród oceanu. Biedny Mac Adam opowiada w nich, że już prawie zupełnie ociemniał i zaledwie widzieć może papier, na którym pisze. Dzień 15 lutego 1875 r. położony był jako data na tej smutnej notatce, z czego wypływa, że nieszczęśliwi rozbitki dostali się tam dnia 5 stycznia. Okręt San Rafael płynął z Liwerpoolu do Walparaiso i zgorzał na północnem morzu dnia 4 stycznia. Osada ratowała się w dwóch łodziach, z których jednę, z 11 ludźmi spotkał na oceanie dnia 31 stycznia okręt „Yorkshire“ który też jednastu tych rozbitków odwiózł szczęśliwie do Anglji. Druga łódź z kapitanem, jego żoną i dziewięciu majtkami przybiła do Hoste-Island, gdzie tych biednych ludzi spotkał los, o którym wyraża się sprawozdanie ministerstwa kolonij, „że trudno w rocznikach katastrof na lądzie i morzu o coś więcej tragicznego i wzruszającego.“

— Eugeniusz Chapus, autor doskonałego dzieła: Guide-Itinéraire de Paris à Havre, opowiada między innemi oryginalną anegdotę o pewnem garbarzu z Meulan w Normandji, nazwiskiem Leclerc, który w ten sposób zrobił się nieśmiertelnym: Henryk IV, najpoczciwszy z królów, którzy kiedykolwiek siedzieli na tronie francuskim, był wprawdzie wiecznie wesół i w dobrym humorze, z tem wszystkiem jednak prawie zawsze znajdował się w pieniężnych kłopotach. Choć serdeczny przyjaciel jego, minister Sully, offarował mu cały swój majątek, to jednak nie zmniejszyło kłopotów finansowych, bo nienasycona nigdy armja wnet pochłonęła te subsydja, stosunkowo wcale nieznaczne. Pewnego dnia król ujrzał sią znowu wobec pustego skarbca, gdy oto na szczęście wspaniałomyślny czyn Sully'ego znalazł naśladowcę, i bogaty garbarz Leclerc ofiarował królowi znaczny swój majątek. Monarcha był zdumiony tą niespodzianą ofiarą, i chcąc bodaj w części nagrodzić patrjotyczne poświęcenie, posłał dawcy dyplom szlachecki. Jakże się następnie zdziwił, gdy zapytany garbarz jakie sobie insygnia do herbu wybiera, oświadczył skromnie, iż pragnie mieć w tarczy jeno zwykłe rękawiczki. Rozciekawiony król tem oryginalnem żądaniem, kazał go przywołać na dwór i przybyłego zapytał o powód właściwy, który go skłonił do wyboru tego a nie innego znaku heraldycznego. Na to garbarz patrjota odpowiedział: „Ponieważ, Sire, nie odważyłbym się podać ci moje skromne mienie nieokrytemi rękami, powalanemi od skóry, więc ubrałem rękawiczki; pozwól zatem królu, by te rękawiczki figurując na mojej tarczy, przypominały zawsze potomkom moim stan mój, moją miłość dla ciebie i twoje dobrodziejstwa, świadczone krajowi.“

— Na Wschodzie używaną bywa z doskonałym skutkiem wielce oryginalna kuracja przeciw reumatyzmowi, podagrze itp. niemocom, tak zwana ammolontra. Są to niby suche łaźnie, a właściwie kąpiele piaskowe. Jak wiadomo, wybrzeża tamtejsze obfite są w zatoki, w których dzięki pomyślnym stosunkom wiatrów i piaszczystego gruntu, potworzyły się liczne pagórki i wzgórza piaskowe. Otóż chorzy wyżej przytoczonej kategorji szukają pilnie za takiemi pagórkami, i rozebrani do naga, nurzają się w piasku po szyję, że im tylko widać głowy, które za pomocą rozpostartych mat słomianych, ochraniają przeciw piekącym promieniom słonecznym. Widok takich pacjentów wcale oryginalny i pocieszny. Z łatwo zrozumiałych powodów, mianowicie skutkiem ciężaru warstwy rozpalonego piasku posiadającego temperaturą 36—40° Reaum. chorzy dostaje gwałtownych transpiracyj i po krótkim czasie, napada ich jakaś dziwna trwoga i zaparcie oddechu, że co rychło muszą wyłazić z tej łaźni. Często uzdrowienie następuje już po kilku z rzędu takich kąpielach, i nic dziwnego, że u ogółu panuje silne przekonanie, przypisujące tym piaskom jakąś siłę cudowną.

— W pobliżu Suffolku umarł przed kilką laty w 53 roku życia niejaki John Peelc, który począwszy od dziesiątego roku, miał bez dania choćby najmniejszej przyczyny, jakąś nieprzezwyciężoną odrazę do pieniędzy. Nikomu nie udało się nigdy namówić go, by jakikolwiek pieniądz wziął w rękę, a że początkowo rodzice idjotyzm za powód tego uważali, więc usiłowali zrazu dobrocią i łagodnemi środkami, a potem surowością nakłaniać go, by wziął pierwszą lepszą monetę do ręki. Wszystkie atoli zabiegi były daremne, bo choć John dobrze o tem wiedział, że za pieniądze może sobie sprawić nie jednę przyjemność, nie zmienił jednak ku nim niechęci swojej. W końcu za czyjąś poradą ojciec postanowił spróbować środka, który go miał przekonać, czy syn udaje tylko, czy też powodem niewytłumaczonego dziwactwa rzeczywista jakaś odraza. W tym celu włożono mu, bez jego wiedzy, do kieszeni kilka pieniążków miedzianych. Gdy przypadkowo sięgnął tam ręką i natrafiił na monety, wyrzucił je z obrzydzeniem. jak gdyby to był jaki płaz wstrętny, i dostał konwulsyj, które trwały przeszło godzinę. Po pewnym przeciągu czasu. ojciec chcąc koniecznie wyleczyć go z tej tak szkodliwej dlań antypatji, powtórzył tę próbę ale już ze srebrną monetą; tym razem znowu konwulsje były tak gwałtowne, że obawiano się o jego życie. Zresztą nie różnił się niczem uderzającem od swoich braci, był jeno zawsze poważny i zamyślony, a czasem zdradzał wielki spryt umysłu. Z wiekiem niepraktykowana ta odraza wzrosła w nim do tego stopnia że odwracał się natychmiast skoro kto tylko dobywał pieniądze w jego obecności. Oddany na naukę do zegarmistrza był wnet nader zręcznym pracownikiem w tym zawodzie. Atoli skutkiem tej wady, skazany był wiecznie na żywot smutny i samotny, który dzieliła z nim tylko siostra, zastępująca go we wszystkiem, co dotyczyło pieniędzy.

— Sądzimy, że nie od rzeczy będzie, gdy podamy dla ciekawych czytelników szereg dat statystycznych, okazujących stopniowy wzrost sztuki wojennej Pomijając wieki starożytne, rozpoczynamy od roku 1331go, w którym Maurowie z Granady przy oblężeniu Alikantu, po raz pierwszy użyli broni palnej; w r. 1346 w bitwie pod Crecy, używali jej także Anglicy; w r. 1378 zaprowadzono ręczną broń palną we Włoszech i Niemczech; w r. 1434 Malatesta z Rimini wprowadził próżne wewnątrz kule działowe: w r. 1447 król Karol VII francuski zaprowadził pierwsze umundurowane wojska stojące; w r. 1473 książę Karol burgundzki nadał im uregulowane egzercycje; w r. 1503 zjawia się we Francji żandarmerja w uniformach; w r. 1520 zaprowadzają francuskie kompanje inwalidów; w r. 1521 cesarz Karol V nadaje swym wojskom muszkiety; w r. 1525 markiz Pescara tworzy oddziały lekkiej piechoty i wyucza je tyraljerki; w tym samym roku powstaje w Wenecji szkoła artyleryjska; w r. 1530 poczynają budować twierdze podług systemu Tartaglii; w r. 1540 pojawia się dzieło Beringuccio'ego o sztuce artyleryjskiej; w 1544 wynalazł Poppendorff kołowe lawety dla armat; w r. 1545 w bitwie pod Cerisoles pojawia się konna artylerja; w r. 1546 cesarz Karol V założył w Regensburgu pierwszy magazyn wojenny; w r. 1560 Niderlandja, a po niej inni zastosowują ulepszenia w oszańcowaniach polnych; w r. 1567 hiszpańska piechota otrzymała muszkiety, a konnica pistolety; w r. 1573 Bartłomiej Campi udoskonala sztukę oblężniczą; w r. 1574 używają we Francji petard po raz pierwszy; w r. 1582 książę Parmy formuje pierwszy pułk dragonów; w r. 1584 książę Maurycy Nassawski uczy obrotów piką i muszkietem; w r. 1585 Collado udoskonala miny; w r. 1586 Jerzy Basta zaprowadza służbę forpocztową i polną; w r. 1596 w Niderlandji zniesiono lancę w konnicy: w r. 1600 zrobiono pierwszą próbę z granatami; w r. 1604 używano tu i owdzie drewnianych armat z żelaznemi obręczami; w r. 1607 zaprowadził Spinola w piechocie hiszpańskiej pułkowe działa; w r. 1620 Targone wynalazł młyny polne do przewożenia z miejsca na miejsce; w r. 1624 zaprowadzono w szwedzkiej armji krótkie i lekkie flinty, i drewniane, skórą obleczone działa; w r. 1631 król Gustaw Adolf zreformował zupełnie swoją armję: w piechocie zniesiono piki, zaprowadzono wszędzie natomiast niemieckie karabiny i patrony, jednostajne umundurowanie, potrójne szeregi w ogniu, maskowane baterje, wzajemne w boju wspieranie się pojedynczych oddziałów, strzelców polnych itd. w r. 1640 wynaleziono we Francji bagnet i zamki karabinowe; w r. 1650 wynaleziono w Warszawie wizyr dla lepszego mierzenia i trafiania z armat; w 1654 Puysegur ustawia wojsko francuskie w dwa szeregi; w 1667 powstają tamże pierwsze oddziały grenadjerów; w r. 1669 utrwala się przy fortyfikacjach system Vauban'a i Coehoorna; w r. 1671 zaprowadzają w Holandji blaszane pontony; w r. 1672 Comminges wynalazł bomby; w r. 1674 elektor brandeburgski tworzy w piechocie oddziały tyraljerów; w r. 1681 Francuzi probują ze złym rezultatem, strzelać z nałożonym bagnetem; w r. 1684 w wojsku austrjackiem znoszą nieużywane nigdzie piki, a zaprowadzają karabiny z francuskiemi zamkami; w r. 1794 zaprowadzają tu i owdzie oddziały trenu; w r. 1733 król August w Polsce zaprowadza konnych strzelców; w r. 1734 Obenaus wynalazł maszynkę do mierzenia i ładowania dział; w r. 1739 zaprowadzają we Francji działa szwedzkie; w r. 1740 wojsko pruskie dostaje do karabinów żelazne nabijacze; w r. 1776 zyskuje ogólne przyjęcie fortyfikacyjny system Montalemberta; w r. 1777 pojawia się teorja Laroisier'a dotycząca działania prochu strzelniczego; w r. 1786 zaprowadzono w Austrji dla strzelców dubeltowe sztućce; w r. 1794 pierwsze próby z rakietami; w r. 1799 zbudowano pierwszy model działa wyrzucającego pociski za pomocą pary.

— Co kraj to zwyczaj — powiada słusznie przysłowie. Gdy japońska dama jest kochankowi wzajemną, na znak tego czerni sobie zęby. Atoli najwymowniejszym znakiem jej miłości, jest, gdy wyrywa sobie brwi i rzęsy; ceremonję tę zachowują sobie kochankowie zazwyczaj na dzień wesela. U niektórych plemion czerkieskich, panuje zwyczaj, że jedenastoletnie dziewczęta zaszywają w świeżą skórę jelenią, w której chodzić musi aż do ślubu. Dopiero nowożeniec rozcina ją kindżałem.

Od Redakcji.

S. T. D. w Krakowie. Z przysłanego artykułu skorzystamy w jednym z najbliższych numerów. Co do korespondencji ta jest mało przedmiotową.

Treść Nr. 12.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).